

PIOTR CHOYNOWSKI
AKADEMIK LITERATURY

OPOWIADANIA
SZLACHECKIE



MCMXXXVII
GEBETHNER I WOLFF



154264

W tekście 7 drzeworytów oryginalnych
i winiety
STEFANA MROŻEWSKIEGO

Zamiast słowa wstępnego — tekst mo-
wy pochwalnej ku czci Piotra Choynow-
skiego, wypowiedzianej przez akademika
literatury Ferdynanda Goetla na uroczy-
stym posiedzeniu Akademii Literatury
dnia 25. III. 1936 roku.

Zakłady Drukarские F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

K-305/84

POCHWAŁA TWÓRCZOŚCI PIOTRA CHOYNOWSKIEGO

Kiedy na oczach naszych przechodzi przez życie człowiek—będziemy go sądzić po znaczeniu, jakie zdobywa w stosunku do innych ludzi. I żądamy wtedy od niego, aby — jeżeli chce zasłużyć na nasze uznanie — przedstawił nam jasno i niewątpliwie, czym jest, jaki ma zasięg działania i jakie prawo do niego. Otrzymaawszy odpowiedź, że jest lekarzem, inżynierem, wojskowym czy politykiem, doznamy zadośćuczynienia. Jeżeli nie poprzestaniemy na nim i będziemy szukali bardziej już złożonych elementów oceny, to jednak pragniemy, aby przynajmniej ten pierwszy zapis, ta zasadnicza legitymacja zajmującej nas postaci była czytelna i zaopatrzona w pieczęć jakiejś powszechnej sankcji. W każdym tytule mieści się bowiem gotowy zapas praw i gotowa ilość uznania oraz pewien konwencjonalny kształt i pewne stałe miejsce na arenie świata.

Są jednak wśród ludzi zjawiska kariery, nieczytelne już w samej swej istocie. Są osoby, pretendujące do naszego uznania, dla których nie ma gotowego kształtu, tytułu lub imienia. Pisarze, literaci czy też ogólniej: artyści, należą do nich w pierwszym rzędzie. Ty-

tuż w tym wypadku jest tylko pozorny, aczkolwiek zdaje się określać człowieka bardziej jaskrawo niż jakikolwiek inny. Skoro bowiem spróbujemy umieścić owego literata czy artystę w znanym nam układzie konwencjonalnym, doznamy uczucia zawodu. „Mistrz“ nasz, bo tak go przecież nazywamy staroświecko w potocznej mowie, nie mieści się na żadnym stopniu hieratycznym, ani nawet nie da się przyczepić dość rozsądnie do żadnego sąsiedztwa.

Mamy jednak sposób i na to. Skoro nie ma miejsca dla naszego bohatera na konwencjonalnej arenie świata — należy zmienić dekoracje. W lamusie naszym jest przecież taki drugi garnitur, nie obowiązujący i nie sankcjonowany, ale także skończony i „pewny“ w razie okazji. Znamy go wszyscy; są tam jakieś malownicze rupiecie z dawnej bohemy, jakieś pracownie i estrady, lub znane nam już bliżej kawiarnie i knajpy, wystawy wreszcie księgarskie, salony — a czasem, odświętnie, taka sala, jak ta, dziś właśnie. Zadowoleni z siebie umieszczamy tam artystę i ulegamy złudzeniu, że nasze poczucie rzeczywistości wyszło z kłopotu obronną ręką.

Do pory jednak tylko. Bo kiedy ów artysta przemówi, chociażby z tej wypróbowanej już estrady, głosem swoim, swego zawodu, głosem sztuki — znów się staje kłopotliwy i nieprzymierzalny do żadnych gotowych wzorów.

I oto pojmiemy, że chcąc go zrozumieć i ocenić

właściwie, musimy się przenieść w inny świat, podobny tylko do tego, w którym żyjemy, świat, w którym nic nie jest uświęcone sankcją ani nie przemienne — a przecież bardziej oczywiste i powszechne niż najdoskonalszy schemat rzeczywistości. W świat, którym rządzą prawa pozbawione mocy wykonawczej, ale surowe i nieodwołalne, jak zrządzenia losu. W świat, od którego odwrócimy się zawsze pod naciskiem chwili, aby powrócić doń, gdy wypada żyć z myślą o jutrze. W świat wyobraźni.

Piotr Choynowski, o którym mówić mi wypada, należał do niego niemal całkowicie. Co więcej: w teatrze tym widmowym przesunął się cicho i dyskretnie, obserwator nieledwie procesów, dokonywających się na pierwszym planie. Otoczony kołem jakichś swoistych mu „prywatnych“ spraw, stanowił wśród nas, pokrewnych mu ludzi, zjawisko statyczne, nie podlegające zasadom ciągłego ruchu i wszechstronnego poszukiwania, które kojarzymy zazwyczaj z typem nowoczesnej umysłowości. Daleki od rzeczywistości i w świecie iluzji zajmował miejsce dalekie i bezosobowe, jak gdyby wyznawał najbardziej fanatyczną zasadę sztuki, że dzieło artysty mieści się nie tylko poza życiem zbiorowym, ale i poza jego własnym. Powściągliwy wobec wszystkiego, co stanowiło o problematyce naszych czasów, z równą wstrzemięźliwością odnosił się do przykazań pozostawionych nam przez piśmiennictwo ubiegłej doby. Sprawowanie owego rządu nad duszami, który

stał się jak gdyby posłannictwem polskiej literatury, zdawało się nie kusić go wcale. Nie zdradzał żadnego szczególnego nabożeństwa do sakramentalnego „kagańca oświaty“, nie roztkliwiał się nad polską nędzą, nie unosił nad polskim entuzjazmem. Nie groził, nie przekonywał, nie wróżył, nie łamał rąk, ani nie groził pięściami. Opowiadał. Stąd też, gdy chodziło o podkreślenie jakiejś jego szczególnej właściwości w piśmiennictwie polskim, nazywano go najczęściej stylistą. Władał bowiem językiem niezawodnym, oszczędnym w doborze środków, całkowicie nie pochopnym do nowatorstwa, ale zwartym, ścisłym i rytmicznym, o pewnej barwie heroicznej, powściąganaj akcentami ironii. Był to język wzorowy, nadawał się przeto do pochwały jak żaden inny, chwalony jednak powszechnie, wątpię, aby był ceniony należycie. Czym bowiem jest w literaturze naszej wzór języka spostrzeżemy dopiero, gdy poszukując go w prozie musimy ominąć cały świetny XIX wiek i cofnąć się głęboko wstecz aż do Skargi, po którym trudno nam już wymienić bezspornie doskonałą pozycję. Nie mam zamiaru ryzykować twierdzenia, że proza Choynowskiego stanowić będzie pomnik języka, równie trwałą jak słowo Skargi, w każdym jednak razie chciałbym podkreślić znaczenie faktu, jakim jest w literaturze i szerzej: w historii kultury zjawisko wzorowej definicji artystycznej. Chcąc ją ocenić, zapomnijmy na chwilę o literaturze i zastanówmy się nad powszechną, gorączkową,

a jakże trudną i zawodną gonitwą za formułami, w których usiłujemy zamknąć zjawiska nowoczesnego życia w rozmaitych jego przejawach, ekonomii, polityce, organizacji społecznej. Dysproporcja pomiędzy zapewnieniem masom ludzkim treściwego bytu a napisaniem bezbłędnych książek wyda się może zbyt wielka, istota jednak zagadnienia jest jedna i ta sama. Poszukując wyrazu dla otaczającego nas świata musimy go znaleźć w sobie. Znalazszy stwarzamy ducha, styl epoki. W stylu zawrze się jakiś obraz życia, szerszy lub węższy, stając się dostępnym i przejrzystym nie tylko dla nas, ale i dla otoczenia. Przenośnia poetycka powiada, że artyści czy w ogóle twórcy przetapiają w swojej duszy świat. Myśląc o owocach stopu mamy na oczach zazwyczaj dzieło artysty. Nie każdy jednak spostrzeże, że wraz z nim uległo przemianie i wszystko, co jest mu pokrewne.

Obsza życia, zamknięty w stylu pisarskim Choynowskiego, ma granice wykreślone z rzadką dokładnością. Obserwując je odnosimy wrażenie, żeśmy się z nimi oswoili jeszcze przed Choynowskim, ulegając wizjom szlacheckiego rycerstwa, stworzonym przez Sienkiewicza. Pokrewieństwo tego rodzaju, wiadomo, nie jest bezpieczne dla pisarza, nawet gdy tylko nawiązuje do swego poprzednika. Pozycja następcy Sienkiewicza będzie niebezpieczną szczególnie. Chodzi tu przecież o dziedzictwo niezwykle wielkiego i odrębne-go dzieła, które uważać chcemy za skończone —

i właściwie — historycznie już pogrzebane. Nie mam tu możliwości poruszyć całą złożoną sprawę stanowiska, jakie zajmują w piśmiennictwie a właściwie już w kulturze polskiej rycerskie apoteozy Sienkiewicza. To jednak pewne, że istnieje silny, dominujący nawet prąd w opinii, który dawny, pochwalny bez zastrzeżeń, stosunek do dzieła autora „Trylogii“ poddaje gruntownej rewizji. Jest to rewizja w znaczeniu polskim, krańcowa i bezwzględna, ta, która kończy i obala wraz z twórcą i jego dziełem także i samo zagadnienie. Któż zaprzeczy, że osądzenie heroicznego, „ojczyźnianego“ tonu sienkiewiczowskiego pióra stało się zarazem wyrokiem kasującym całą sprawę rycerską i szlachecką z piśmiennictwa polskiego a nawet z pola zagadnień decydujących o kulturalnym wyrazie nowoczesnej Polski. Jest jakaś ironia losu w postawie naszych rewizjonistów, którzy gromiąc domniemane sienkiewiczowskie łatwizny, sami zignorowali zjawisko, które nadal istnieje, wywiera wpływ na życie społeczeństwa i domaga się rozwiązania. Nie trzeba złośliwości, aby właśnie w tym zbagatelizowaniu niewygodnej sprawy wywieść rodowód naszej myśli radykalnej od tejsze szlachty po stokroć przez nią potępionej i skazanej łaskawie na naturalne wygasanie. Niedoszli skazańcy, niewiele, przyznać należy, robili sobie z wyroku. Kto się nie ostał na swoim, zbierał manatki i nie czyniąc wielu kwestyj przenosił się po cichu, po sąsiedzku w obóz swych pogromców.

Następca Sienkiewicza, „zapóźniony“ i „niemodny“ Piotr Choynowski, pozostał, w chwili, gdy szlachta skonfederowana pod Żeromskim, kto wie może i pod Feldmanem, przemykała się ku radykałom — u siebie w domu. Skórę zostawił na sobie herbową, wyraźną, nie bał się jej i nie wstydził się, że się komuś wyda podobną do sienkiewiczowskiej. Opisywał więc nadal szlachtę, na przekór rewizjonistom, jako coś co istnieje, co znaczy i chce znaczyć, coś co dominuje nad życiem Polski, nie tylko w wieku XVII, ale i dziś po ostatnie nasze dni. Wierny sobie, a więc i prawdomówny, pozostawił nam jedyny w nowoczesnej literaturze obraz dziejów szlachetczyzny, najczęściej związany z typem wydziedziczonego ze wsi szlachcica, i nawet więcej jeszcze: koroniarza i warszawianina, ale jak mówię, jedyny i przez to swoje zobrazowanie człowieka przejściowego, szczególnie miarodajny.

Z piśmienniczego spadku, który pozostawił Choynowski, pozwolę sobie zatrzymać się na trzech książkach, może nie równych co do wartości, zdaniem moim, jednakże najciekawszych, albowiem każda z nich podejmuje jeden i ten sam temat bohatera o wyraźnie szlacheckim rodowodzie, w trzech przełomowych epokach, t. j. w roku 1863, w r. 1905 i wreszcie w r. 1920. Chronologia, w jakiej zostały napisane, nie odpowiada chronologii tematu, co w pewnej mierze nie uwydatni nam rozwoju poglądów autora — o intencjach jego pomówię jednak osobno.

Na razie chodzi o zestawienie obiektywne.

Rok 1863. „Kuźnia“. Warszawa w przededniu powstania. Biali i Czerwoni, margrabia Wielopolski i hrabia Zamoyski. Spory, dyskusje, kłótnie — rozgorzałe do białego, namiętności, manifestacje i procesje, codzienne igranie z ogniem i ...nędzna, na poły sztubacka organizacja spisku, który nie tylko nie wie co począć, ale i nawet nie wie co się dzieje. Do zbrojnej rewolucji prze tylko paru fanatyków. Wszyscy inni są jej przeciwni. Ale miastem rządzi jakaś ogromna, jednolita siła. Ale ulica Warszawy tchnie wolą buntu i każde słowo nie tylko przywódcy, ale i przygodnego zapaleńca jest w stanie pchnąć masy w rewolucyjny ruch. Stan ten znany nam z dziejów określaliśmy już nieraz jako mistyczny. Z pewną dozą słuszności, boć trudno wytłumaczyć, skąd wzięła się buntownicza egzaltacja Warszawy właśnie w sześćdziesiątych latach, solidarność jednak i siła masy nie będzie tak dalece tajemniczą. Jest to przecież społeczeństwo, którego warstwy żyją jeszcze obok siebie w układzie harmonijnym, przekazanym przez wiekową tradycję. Aristokracja, szlachta, mieszczaństwo, grubsze i drobniejsze, służebny i czarny plebs, dziady wreszcie żebracze. Chłopstwo, które miało tak zawazyć na powstaniu, nie liczy się tu. Boć to stolica.

Do rozgorączkowanej Warszawy przyjeżdża na pół za interesami, na pół z ciekawości młody ziemianin, nieco już zbliżony do ruchawki. Z poglądów — rady-

kał. Dlaczego? Posłuchajmy autora: „Codzienne gospodarcze życie mierziło go do cna... z ojcem żył na bakier, że to mu z klucza jednego folwarku odstąpić nie chciał... nudziła go matka, siostry, rezydenci, nudził cały, pośród powszechnej burzy, spokój. Przez płynący z gorzkiej krzywdy radykalizm poglądów zdobył sobie cichych zwolenników wśród co gorętszej szlachty“.

O jaką krzywdę chodzi, autor nie wyjaśnia. Na pewno jednak nie o chłopów, o których w powieści tylko wzmianka, że podczas patriotycznego kazania na wsi opuszczają kościół. Więc raczej o krzywdę, wynikającą z niewoli.

Ten oto szlachcic wpada po przyjeździe w tłum uliczny. Przywitany niezbyt życzliwie, spogląda krytycznym okiem na niezdarne poczynania gawiedzi. Ścisniona jednak masa niesie go w sam środek ulicznej zawieruchy. I oto atak kozacki wywołuje panikę. W szlachcicu budzi się nagle wzdarda, nienawiść i chęć odwetu. Drugi impuls przychodzi nań, gdy wracając z obrad Towarzystwa Rolniczego, zakończonych niczym, spotyka zagrożoną w bitwie ulicznej kobietę. Musi się znowu wmieszać w zgiełk, aby rycerskim obyczajem wyprowadzić ją całą. Zakochuje się też piornunująco, szczęśliwie, ale niefortunnie, bo dama choć miła, jest biedną osobą, a ojciec nie chce mieć byle jakiej synowej. Wreszcie spotyka go wydarzenie trzecie, najgorsze. W Hotelu Europejskim, gdzie się za-

trzymał, wojsko przeprowadza rewizję. Ktoś nie chciał drzwi otworzyć i został po sołdacku skatowany. Bohater nasz rzuca się na dowódcę patrolu i zostaje sam pobity kolbami do utraty przytomności.

Rozumiemy teraz: radykalizm jego jest już uczucio-wo sformułowany i nie potrzebuje żadnych subtelniejszych argumentów. Na dalsze już posiedzenia komitetów zamieszki, dysputy i spotkania spojrz obojętnym okiem człowieka, który powziął decyzję rozprawy z życiem w każdych okolicznościach. Sam los rzuci go tam, gdzie jest najgoręcej, pomimo zastrzeżenia, jakie wciąż budzi w nim utylitarny rozsądek. Ma szacunek dla rozumu Wielopolskiego, ale pociągnie za Padlewskim, któremu nie dowierza. Pokłóci się z ojcem, porzuci nawet dom, ale małżeństwa z ubogą znajomą nie zawrze, a młodszego brata, który również porwany powstańczym ruchem, ucieka do szkoły oficerskiej w Cuneo, potraktuje jak wiatroglowa. Rozum dyktuje mu ciągle, że to powstanie, bez pieniędzy, bez broni, wojska i jednolitej organizacji, jest szaleństwem, ale też nie uczyni nic, aby poprawić głupstwa robione przez innych. Zadłużony, zdany na opiekę krewnych, powita wybuch powstania chmurnie i niedowierzająco — z fatalistycznym jednak przekonaniem, że jest to jedyne wyzwolenie z dręczących go udręk życiowych i wątpliwości wewnętrznych.

Rok 1905. „W młodych oczach“. Na ulicy Elekto-ralnej w Warszawie mieszka rodzina inteligencji:

dr Kęcki z żoną i synem. Kęcki, podobnie jak jego poprzednik Krasuski, pochodzi z dobrej „półtoraherbowej“ szlachty. Sam jednak ożenił się z mieszczańką warszawską. Z rodziną swoją zerwał już świadomie i niemal całkowicie. Jako lekarz, sądzić można przeciętny, oddaje się z zamiłowaniem działalności społecznej utrzymując jakiś bliżej nie określony kontakt z P. P. S. Czy jednak czytywał Marxa lub chociażby krajowe programy partyjne, należy wątpić. Ku partii robotniczej pcha go ciepły, współczujący stosunek do ludzkiej niedoli. Jest to ów Polak zacny, o dobroci wszechstronnej i pobłażliwej, szczodrej ręce i niezachwianie pogodnym umyśle, przyjaciel całego świata i wróg podłości uparty, ale zbyt mało skoordynowany, aby zaważyć w walce z nią w decydującym momencie. W domu wyrasta dziecko, chłopiec ambitny, bystry, i wrażliwy, również jednak bez wyraźnych zamiłowań. Ulubiony przez wszystkich, także przez dalszą, skłóconą z Kęckim rodzinę — rozwija się w zupełnej samotności. I nie tylko on. Wszyscy ludzie tej opowieści żyją na własną rękę łącząc się doraźnie w chwilach katastrofy, której sprawcą jest ten trzeci: Moskal. Nie ma tu już harmonijnego i żywotnego układu stanów z lat 63. Nici wiążące społeczeństwo są porwane nie tylko pomiędzy warstwami jego, ale wewnątrz ich. Doktorowa Kęcka, z domu Kwietniakówna, tylko odświętnie utrzyma stosunki z ojcem. Stary Kwietniak ironicznym okiem patrzy na idealizującego zięcia. Nikt



nie zna przyjaciół politycznych Kęckiego, żadna istotna i rzeczywista więź nie łączy uspołecznionego doktora, ani z proletariatem, ani ze swoją sferą szlachecką, ani z mieszczańskim środowiskiem żony. Aresztowanie Kęckiego i zesłanie go do Rosji na chwilę tylko spaja rozkruszony ten świat. Z pomocą osamotnionej kobiecie i synowi zesłańca ruszą wówczas wszyscy. Patrzymy na ten akt polskiej ofiarności ze współczuciem, ale z niepokojem w sercu. Bo te ruble, które otrzymuje doktorowa, te złote pamiątkowe dukaty, ofiarowywane chłopcu, nie są zdobyte pod wrażeniem koniecznej obrony, ale wyciągnięte z ostatnich jakichś dogasających rezerw, których starczy być może na jedno tylko pokolenie. Skoro skutki katastrofy, do której dołącza się rychło śmierć doktora na wygnaniu, zostają zażegnane, wszystko powraca do dawnego stanu. Chłopak tylko dojrzał w tym czasie. Podawany sobie z rąk do rąk, odbył wędrówkę po rodzinie ojca i matki i nigdzie nie trafił na odpowiadające mu środowisko. Nikt też nie pokochał dziecka miłością silniejszą od zapiętych namiętności wzajemnych porachunków. Obraza rządzi wszystkimi, jak najpotężniejsza siła życia. Podrażnione ambicje triumfują nad każdą intencją wspólnego czy chociażby osobistego osiągnięcia harmonii. Pracuje się, aby istnieć. Istnieje się, aby postawić na swoim. Zawód jest tylko koniecznością życia, pieniądze czymś, co się gdzieś znaleźć musi. Jest jeszcze Polska, dla której wypada cierpieć, skoro zajdzie tego potrze-

ba. O nią jedną potknie się Michał, ilekroć zabrnje w którąś z zastoin bliskiej sobie społeczności. Gdzieby jednak była, gdzie jej szukać należy—nie wie. W domu mieszkał rezydent, powstaniec z 1863 roku, ale ten otoczył się chmurą zjadłego milczenia. Towarzysze ojca z P. P. S. zniknęli z chwilą, gdy doktora wysłali na wygnanie, aby później pojawić się raz jeszcze jeden tylko na jego pogrzebie i złożyć mu wieniec bezimienny z czerwonymi kwiatami. Szlachta pomrukuje o zasługach wojskowych swoich przodków, przyświadcza dumnie, że w każdym pokoleniu ktoś tam z rodziny bił się, albo „siedział“, sama jednak woli się trzymać z daleka od gorzkiej okazji. I znów zwycięża instynkt — instynkt wojny. Jest rok 1905. Kończący już studia uniwersyteckie Michał natyka się na ulicy na gromadę zmobilizowanych rekrutów, prowadzoną przez oddział rosyjskich żołnierzy.

— „Nasze siostry, sztyki, piki wostry“ — rozbrzmiewa pieśń żołdacka.

— „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi“ — zawodzi żałośnie polski rekrut.

W piersi Michała budzi się bunt. „Szalone uniesienie“ — jak powiada autor — „ogarnia jego duszę“. Jakim czołem przygląda się tej ohydnej niemocy, jako widz. Kto ten lud wyzwolić ma z hańby? Kto poprowadzić?

— Nie dam—bełkoce z zaciśniętymi zębami.—Nie dam! Nie pozwolę!

Wizja wojny zstępuje nań, jak objawienie i..... kończy książkę.

Rok 1920. „Dom w śródmieściu“. Stefan Makomaski, niedoszły inżynier (zauważmy, jak w tych powieściach zmieniają się zawody bohaterów: rolnik, doktor, inżynier) wraca do Warszawy po walecznie przebytej kampanii, w ochotniczej błękitnej armii. Jak jego poprzednik, pochodzi z rodziny wysadzonej już z roli. Z rąk ciotki — rodzice bowiem już nie żyją — otrzyma skromny fundusik dziesięciu tysięcy rubli — ostatnią już zapewne resztę rezerw posiadanych przez rodzinę. Ma jednak wuja Rudzkiego, który łowił złote runo w głębokiej Rosji. Przebiegły i dzielny zagończyk przemysłowy wyżył się szczęśliwie w stepach azjatyckich i resztki olbrzymiej fortuny powierza wspaniałomyślnie Makomaskiemu.

Nieoczekiwane to źródło odnowy majątkowej substancji Makomaskiego wyda nam się w pierwszej chwili nie dość przekonujące, ale skoro przypomnimy sobie, ilu takich Rudzkich podtrzymało „syberyjskim czy mandzurskim“ złotem padający szlachecki stan Królestwa, musimy się z nim pogodzić. Gorzej będzie z treścią wewnętrzną świata, do którego powraca Makomaski po przerwach wojennych. Na ulicach Warszawy spostrzega tłum „zimny, cichy i beznadziejnie szary“. Odzyskana niepodległość przeszła po nim bez śladu. Na mundur jego oficerski spojrzy przechodzień okiem badawczym i złym. Nawet defilada wojsk

przechodzących w znakomitej prezencji przyjęta jest głuchym i tęnym milczeniem.

Dom w śródmieściu, rozumiemy tu już nie poczciwy domek na Elektoralfnej, ale kamienicę gdzieś w pobliżu Marszałkowskiej—którego zarząd obejmuje, imieniem wuja Rudzkiego, zamieszkują ludzie tak pozabawieni wszelkiej ostoji społecznej, jak gdyby wczoraj skończyła się cywilizacja, a jutro miał się skończyć świat. Energiczny p. Stefan poczyna sobie zrazu po wojskowemu: jednych wyrzuci, drugich przymusi do porządku, trzecich przyuczy płacenia — ale głównych trudności nie rozgryzie. Arcybałagan kamieniczny ma swój podkład fatalny, a każdy wyznawca jego, awanturnik, niedołęga, pijak czy gracz, góruje nad Makomaskim tragicznym wykładem o niemożności przezwyciężenia chaosu. Tu, ówdzie znajdzie się sprzymierzeniec, najbardziej nieoczekiwany, ale i ten niewiele może pomóc sypiąc na swoją rękę jakąś trwalszą wysepkę na rozkołysanym trzęsawisku. Powoli zaczyna grzęznąć i sam Makomaski. Kamienica zdaje się brać górę i nad nim. Wciągnięty w jeden i drugi romans, zwabiony do spelunki, gdzie trwa nieustannie pijaństwo i hazardowa gra, bezsilny wobec zalewającej go beznadziei, zdaje się już tracić dyscyplinę swej postawy wewnętrznej, gdy nagle przychodzi kłeska, odwrót spod Kijowa i zaciąg ochotnika dla obrony Warszawy.

Nie waha się ani chwili. Wstępuje do wojska,

a wraz z nim i mieszkańcy domu śródmieścia, także i ci spod najciemniejszej gwiazdy: gracze, pijacy i marnotrawcy. Biją się dzielnie, zdobywają szlify, śmierć lub kalectwo. Honor domu jest uratowany. Co się z nim stało po wojnie: nie wiemy. Makomaski zostaje bowiem w wojsku na stałe.

— Oto skrót tragedii szlacheckiej, zawartej w trzech powieściach Choynowskiego. Zróbmy teraz przesunięcie subiektywne i przypomnijmy sobie, że ostatnią książką w tym nie zamierzonym zresztą cyklu był nie dom w śródmieściu, lecz rok 1905 zatytułowany: „W młodych oczach“. Jest to szczególnie ważny, gdyż idealistyczny nurt powieści zdawał się zapowiadać narodziny bohatera innego już typu, o świadomym i całkowitym stosunku do życia. Przedwczesna śmierć autora nie pozwoliła wykonać ambitnego zamierzenia. Czy jednak ten szlachcic odrodzony umiałby znaleźć poza wojną jakąś „ultima ratio“ swego życia? — Pewną odpowiedź daje na to sam autor w krótkim wstępie do powieści: „Nazywam się Michał Kęcki i jestem inwalidą wojennym. Dobrze mnie poharatało i boli nie raz w gnatach, jak diabli. Ruszać się po świecie nie bardzo mogę... siedzę też sobie przed ojcowskim jessze biurkiem i piszę te bzdury dla pociechy“.

Rozumiemy więc, że i ta historia niedopisana miała się skończyć w roku 1920 stanowiąc niejako korekturę tragicznego w swym pesymizmie domu w śródmieściu.

Być może, że myśl Choynowskiego, która u schyłku jego trudów pisarskich chciała się raz jeszcze przedrzeć przez ciernisty, tym razem, gąszcz otaczającego go świata — doszłaby w końcu do najtrudniejszego zadania, jakim jest zagadnienie inteligenta z tradycyjnym rodowodem szlacheckim w nowoczesnej Polsce.

Wszakże i to, co nam pozostawił, tak dziwnie jednolite w trzech rozmaitych wizjach, stanowi obraz bynajmniej nie przesądzony i nie pogrzebany w popiołach historii. Zastanawiając się nad nim nabrać musimy przekonania, że struktura wewnętrzna naszego życia, w zasadniczych swych zarysach, układa się nadal według szlacheckiego schematu i, skoro będziemy mieli odwagę oczyścić ją z różnych powierzchownych naleciałości, ujrzymy gorejący słup wojny jako główny pion, prostujący chwiejny kregosłup Polaka. Z gmatwaniny życia codziennego, które wciąż jeszcze wydaje nam się nieważne, dokuczliwe i obmierzłe — będziemy szli ku niemu, chociażby pomimo woli i chęci, rzucając w pożogę wszystkie niezafatwione sprawy naszego uwikłanego w sprzecznościach żywota. Zwycięstwo czy nawet klęska wyłoni orszak bohaterów, nową szlachtę, oczyszczoną z udręk i grzechów i nieśmiertelną jak Feniks powstającą z popiołów. Nazajutrz zacznie się znowu trudna, niewdzięczna, „szara“ walka o codzienną treść istnienia. Chwila, w której podejmiemy ją w skali heroicznej, na śmierć i życie, orzek-

nie dopiero, czyśmy przewyciężyli dziedzictwo szlachetczyzny i wyzwolili się z jej dziejowych, wszechmożnych uroków.

Ferdynand Goetel

MAGNACKIE SWATY

MAGNACKIE SWATY

Zacząło się to kochanie w sam Nowy Rok. Wrócił był właśnie pan Jan Zakrzewski do siebie na Kujawy do domu, do Zakrzewia, na same święta. Z daleka wracał, ze dworu generała Ksawerego Branickiego, w. łowczego koronnego, któremu milicję dworską przez dwa roki wodził. Wodziłby i dłużej, bo generał za przyjaciela go miał, nie za sługę, żeby nie ta Konfederacja, co ją Krasieński-biskup zawiązał w Barze. Nie dało panu Janowi sumienie przeciw niej iść, żeć to jakby na samą Panienkę Najświętszą się porywać. A i Moskal śmierdział mu przy tym okrutnie. Poszedł tedy do Branickiego wprost i na ręce mu dowództwo złożył. Że niby do Konfederacji przystaje.

Rozeźlił się na to Branicki strasznie, bo go miłował.

— Takiś ty, byczy synu?! — huknął. — Toś i Miłościwego Pana zdradził, co mniejsza, ale i mnie wierności dochować nie chcesz?! Taką to

amicitiam w trudnej okazji deklarujesz?! Poczekaj, Jasiu!! Naboznys się przy mnie zrobisz?! Już ja ci rekolekcje zgotuję, że na świętego męczennika przy mnie — jucho — wyjdiesz!!

I łaską się w gniewie zamierzył, ale go pan Jan za rękę chwycił.

— Bierz go!! — tupął Branicki.

Zaraz też pana Jana własna komenda na wieżę zawlokła. Nie bardzo się zląkł, bo wiedział, że Branickiego gorączka rychlej od kaszy stygnie. Siedział i rozmyślał, że już Wielka Polska do Konfederacji rusza, a jak Wielka Polska, to i Kujawy wnet. Pachniała mu wojenka z daleka i wesół był, że Branickiemu wszystką prawdę wygarnął, jak się patrzy. Siedział sobie i w helbe-cwelbe ze strażą grywał.

Na trzeci dzień wołano go do jenerała.

Siedział Branicki przy wieczerzy z przyjaciółmi i oficerstwem, a — jak to zwykle o tej porze — nieco podpity się widział. Służba łała z kryształowych konwi wina francuskie i węgierskie, każdemu do smaku. Na widok pana Jana, co skromnie w progę się wstrzymał, trzasnął się Branicki w kolano pełną dłonią. Wiedzieli o nim wszyscy,

że jak napity, to *theatrum* z siebie i z innych pokazuje rad bardzo.

— Otóż go i macie, konfederata! — rzekł płaczkliwie. — Do Baru idzie. Już moją łaskę pańską na różaniec i szkaplerzyki pomieniał. Już mi Jasio w opresji swego ramienia żałuje, już mnie nie kocha. Klechów jeno teraz kocha i panów Pułaskich. Nic już Branicki dla niego. Odmienił Jasio afekty.

Tu zwilgło jeneralskie oko udaną łzą. Pan Jan ruszył w pół sali, a kłaniał się nisko, choć bez słowa.

— A przeciem go od gołowąsa chował i do swojej osoby zbliżył — żalił się gorzko jenerał. — Przeciem go wysoko wzniośl, a i pancernym chciałem go teraz robić. Jak źrebiec na moim owsie utył i już przeciwko panu bryka. Niech bryka! Jeszcze może Branicki i bez jego szabli nie zginie. Jeno mi krzywda, że serce do mnie stracił...

Uronił pan Jan na tę mowę łez kilka, za czym do nóg Branickiemu się schylił i pod kolana go podjął.

— A toć wsadźże mnie pan jenerał *in fundum* jak hajdamakę, a tego nie gadaj — mówił.

— Wstań, Jasiu, wstań! Chociesz już nie nam, grzesznym, kompan, a przecie wina się z nami napij. Choć ostatni raz nam tę łaskę okaż. Jakież, Jasiu, wino pijesz?

— Węgierskie — rzekł pan Jan.

— Nalejcież mu kapki! A jakież kielich, Jasiu, wolisz?

— Większy.

— Toś chłop. Po tym cię, Jasiu, poznaję. Jeszcze ty, choć i święty, przed zbawieniem niejedną klasztorną piwnicę wyżłopiesz. Pijże i teraz na zdrowie.

Skłonił się pan Jan Branickiemu, łeb przechylił i kwartowy puchar duszkiem wypił.

Kazał mu teraz jenerał ów wypity puchar sobie podać i skrzynkę z czarnego drzewa gęsto srebrzoną (co pod ręką mu stała) otworzywszy garścią dukaty bite z niej czerpał i do pucharka rzucał z brzękiem. Nie prędzej wstał, aż puchar napłynął z czubem. Cała kompania oblizywała się w cichości na ten widok. Zasię Branicki ów kielich, ambrozji ludzkiej pełen, ku panu Janowi na róg stołu przysunął i mówi:

— Bierz to, Jasiu, na drogę, żebyś miał też z czym do swoich kamratów obdarzonych jechać.

I znowu spinę brylantową spod szyi odpiął i do tego złota przydał.

— I to bierz, Jasiu, żebyś się miał czym Moskwie okupić, jak cię na Sybir zimny wlec będą.

I jeszcze rzekł:

— A ten puchar z klejnotem moim wyróżnionym w domu swoim, w Zakrzewiu, dla syna chowaj. Na przyjaźni naszej miłą pamiątkę.

Ryknął na to pan Jan mocno, bo nie mógł tego szyderstwa dłużej znosić. Ryknął, bogactwa ręką odsunął, aż się dukaty po stole rozbiegły, i znowu Branickiemu do nóg się schylił.

— Nie chcę, jenerale, tych podarków! Nie chcę!! — wołał. — Łaskę jeno twoją zachować pragnę!

A tu właśnie jenerał z całym krzesłem od niego się cofnął i poczerwieniał nagle:

— Bierz mi to, wasze, w mig, skoroć każę! — wrzasnął groźnie. — Cóż to myślisz, żeś Branickiemu darmo służył?! Nie chcesz przyjacielem, wasze, być, toś sługa i jak sługa zasług swoich pilnuj! Żeby nie ta łaska właśnie, co jej waść *false*

zebrzesz, dziś byś już, wasze, wprost glidu stanął i z wierności się w niebie sumitował. A i tak *patientiae* mojej na próbę nie staw i łba, psiakrew, pilnuj dobrze! Ruszaj!

Obrócił się na krześle do pana Jana tyłem i wino francuskie pił chciwie.

Zmiarkował to pan Jan, że nic tu nie poradzi, więc z łbem nisko spuszczonej na swoją kwatere poszedł. Bał się też, żeby Branicki decyzji nie odmienił nagle i naprawdę rozstrzelać go nie kazał, co się z napitym łącno wydarzyć mogło. Zabrał więc owe skarby (co je marszałek w serwetkę czyściutką zgarnawszy za nim wyniósł) do sakiew i teź jeszcze nocy z hajdukiem Maćkiem na Kujawy dobrym pochodem jechał. Pucharek ów Branickich herbowy w szatki własne owinął jak dzieciątko i do łęki przytroczył, żeby go na widoku, jako najdroższy skarb, mieć ciągle. Rwało mu się do generała serce, że to był ludzki dla niego pan bardzo, ale razem z Moskwą przeciw wierze i ojczyźnie miłej iść nie mógł.

Ucieszyli się matusia-wdowa w Zakrzewiu z synowego przyjazdu niewymownie. Pięć lat jedynaka nie widzieli, a i gospodarzyć im samym było

ciężko. Chłoptwo się zuchwaliło bez męskiej ręki i Berek-arendarz kradł silnie. Żeby też bogaci byli ci Zakrzewscy-Nałęcze, to nie. Siedzieli na swoim Zakrzewiu od króla Lecha, ale w potęgę nie wzrosli. Rycerski to był ród i wiecznie wojny szukał; a wiadomo, że z wojaczki łącniej się człek guza na łbie dorobi, jak fortuny. Miewali też Zakrzewscy guzów bez liku, a folwarków coraz mniej. Panu Janowi ostał już tylko sam dwór obszerny i ziemi włók dziesięć. Tyle, żeby się posesjonatem móc pisać. Toteż jak wysypał pan Jan na stół jeneralskie dukaty, popłynęły matusi łzy po starych licach ciurkiem. Już im się wydało, że teraz pół powiatu skupią, a syna na urzędy ziemskie promowała zaraz.

Ale panu Janowi nie ziemiaństwo było w głowie, jako i ojcom. Przyjechał na samo Boże Narodzenie i zaraz ruszył po krewniakach a sąsiedztwie, żeby wieści o Konfederacji zarwać i zabawić się pocziwie. U Jaranowskich był, u Biesiekierskich, u Karnkowskich był, u Lasockich i innych. Gościli go wszyscy radzi, bo od wieków w tej ziemi siedział, kawalerem był jeszcze i w stroju oficerskim prezentował się okazale. Na Nowy

Rok wybrał się do Włocławka, gdzie biskup kujawski stół na dwadzieścia osób nakryty trzymał, a w ten dzień całą okolicę przyjmował godnie.

Tu właśnie spadło nań kochanie, jak jastrząb.

Zaraz po mszy solennej i po z moździerzy na wiwat strzelaniu gratulował pan Jan w pałacu biskupim i tam od samego biskupa, co pociotkiem mu się przychodził, inwitację na wieczór otrzymał. Za czym obiadek leciuchny bez wina w zajeździe zjadłszy stroił się aż do zmroku. Stroił się, bo wiedział o sobie, że urodziwy jest bardzo i że wszystko się na nim pięknie wyda. Lat bo miał dwadzieścia i pięć, wzrost dobry, kibić giętką, twarz ściągłą, oko z ogniem, nos z garbkiem, usta jak jagody, a wąsik niewielki, czarny. Za to też ludzie wszyscy mile go widzieli.

Na odwieczarz był już u biskupa znowu, gdzie tłumy zebrały się gęste. Niejeden i dziesięć mil odwalił, byle się na tej fecie pokazać. Zjechały się całe Kujawy. Pan Jan kłaniał się i kłaniał raz po raz, w ramię całował a ręce ścisnął, bo rodzica jego, że to zawadiaka i kompan był tegi, cała szlachta w dobrej miała pamięci.

A tu z galerii gruchnęła kapela ogromnie, roz-

sunęła się w największej sali zaślona i *mimes* na podium balet nabożny pokazywać jęli. Dwór króla Heroda imaginowali, wizytę Trzech Króli na owym dworze i rzeź młodzianków niewinnych. Cudne to były jasełka. Herodowe służebnice, szczególnie zaś owe matki młodzianki, ze snu przez katów zbudzone, tak były gładkie i tak foremne czyniły skoki, że zaraz jęła się szlachta łokciami poszturchiwać, sapać i oczyskami do siebie łypać. Dopiero jak Matka Boża z Dzieciątkiem na żywym osiołku wjechała, uspokoił się zaraz i kilku z drobniejszej braci przyklekło nawet jak w kościele. Służba cały czas nosiła tace z winem i ciasta. Nawet i biskup, na krześle wzniesionym siedzący, niejeden kielich łaskawie wychylić raczył, że to sam z dobrej był szlachty i trunku się nie bał. A już na podium maskary diabelskie wrzeszczącego Heroda opadły i do piekieł go z łomotem strąciwszy po sali się rozbiegły. Tu szprynce i żarty czyniły przeróżne, gości o datki na budowę nowej świątyni nagabując. Szemrała szlachta z początku, rozumiejąc, że nie tyle na kościół te datki pójda, co do diabelskiej kieszeni. Ale dały sobie diabły radę. Jak jeden z nich skąpemu

panu Dzierzanowskiemu gębę kominiarską szczotką na czarno osmarował, sypnęły się zaraz talarki, a i dusie. Śmiechu było z tego wiele. Za czym ruszono do zastawionych stołów.

Każdy miał miejsce przez marszałka wskazane, żeby obraza jaka nie wynikała. Pan Jan siadł wśród młodzieży znaczniejszej i od razu do jadła wziął się ostro. Dopiero po pierwszym daniu rozglądał się po stołach ciekawie.

Aleć ledwie parę miejsc koło biskupa przejrzał — nagle jakby go kto obuchem w piersi trzasnął. Siedziała tam wpodłe kasztelanowej starej panienka młodziutka i patrzała mu prosto w oczy. Pan Jan kielich wina, co był go do ust niósł właśnie, odstawił prędko i też patrzył w tę pannę bez mrugnięcia jak urzeczony. Zaraz panu Janowi pałac biskupi i wszystek tłum sprzed oczu zginął i ją tylko jedną na całym świecie widział. Patrzeli tak na siebie ze Zdrowaškę. Przecież panna pierwsza z rumieńcem spuściła wieki, a rzęsy do pół lic jej opadły. Pan Jan aż jęknął. Spojrzawszy wokół przekonał się zaraz, że nie on sam tylko, ale i stół jego cały ślepią za nią gubi. Pytał się, kto zacz ta panna śliczna.

— Nie wiesz to waćpan? — oburzył się sąsiad Jananowski. — Panna Kretkowska. Któż by? Waćpan światami gonisz, a my tu już rok długi o nią się zabijamy!

Kretkowska. Pana Kretkowskiego córka, co na kretkowskim kluczu o miedzę od Zakrzewia siedzi. Ochłodły nieco pana Janowe zapaly, bo wiedział, że Kretkowscy wojewodzili jeszcze za kujawskich książąt, a i później, choć nie bardzo się ponad szlachtę pychę wynosząc, biskupów i senatorów na mendle przecież w rodzie liczyć mogli. Ale co znów na tę pannę spojrzął, to niebo otwierało się przed nim i zaraz głowę tracił. Kielich od siebie odsunął i żadnymi namowami do picia skłonić się nie dał. Za język tylko sąsiadów ciągnął i dowiedział się rychło, że panna w Warszawie bawiła u P. P. Witytek na edukacji i krótki dopiero czas wiejski żywot wdowemu ojcu umiła. Ciągłe też strzygł pan Jan w tę stronę oczyma i widział z uciechą wielką, że i panienka raz wraz ku niemu ciekawie zerka. Tak oto całą ucztę wspaniałała jak we śnie spędził, nie jadł i nie pił, jeno owe spojrzenia łowił najdroższe i w sercu z afektem chował. Sąsiedzi trącać go

musieli, żeby wstał przecie, kiedy po oracjach zdrowie Miłościwego Pana i biskupa pito.

Uniósł się wreszcie biskup zza stoła i wśród ukłonów i wiwatów szedł z personatami do sali galeryjnej, gdzie młodzież tańcami cieszyć się miała. Huknęła zaraz kapela i sam Kretkowski z córką w pierwszej parze poloneza wodził długo. Za czym wystąpili Dąmbscy dwaj i Lasoccy-bracia we francuskich strojach i z boginiami swoimi tańcowali menueta z wielką ceremonią. Aż tu przygrywkę do kujawiaka ucięły skrzypce od ucha. Od razu wszczął się wielki ścisk, bo któż by się do kujawiaka rwał, jak nie Kujawy? Pan Jan przeczekał pierwszy gwałt, a bogdanki pilnował jak oka w głowie.

Dopiero jak się zluźniło, skłonił się przed Kretkowskim i pannę nadobną mu porwał. Nie od razu przecie do koła się pchał, jeno kroków kilka przeszedł tanecznie, na dziewczę swoje patrząc, jakoby niepewny wcale, zali naprawdę na ten z nim taniec przyzwala? Brzęknął wreszcie ostrogami, głowę schylił, niby na tej zgody przytwierdzenie, i obracać nią począł dokoła a leciuchno, sam ją drobnymi kroczkami obiegając z przytupem, a le-

wą dłoń ku ziem chyląc, że to za łaskę dziękuje niby i pył spod jej stópek mieść gotów. Płynęli tak czas dość długi, aż huknął w ziemię mocno, w górę poskoczył wysoko i dwa hołubce w powietrzu wyciąwszy (co wielka jest sztuka) znak tym dał, że teraz dopiero naprawdę tańczyć będzie. Jakoż zawinął panną, zakręcił w miejscu i taki pęd wziął od razu, że insze pary umknęły się im z drogi prędko, z dala jeno w koło nich, niby planety wokół słońca, wirując. On zaś niósł swą bogdankę jak burza. Już ziemi nie tykała stopą, już sukien furkających rozeznac się nie dało, jeno była cała jako obłok albo anioł. A pan Jan w miejscu prawie drobiąc, głowę tylko zadarł chwacko, bacząc, zda się pilnie, by mu ta panna w niebo z rąk nie uciekła. Brzęk ostróg biegł jeno z tego miejsca w dziwnej z kapelą zgodzie. Aż znowu hołubca trzasnęła i znowu nawróciwszy sunął szerokim już kołem wolniej, raz po raz na kolana przypadając, jakoby za swą niedawną gwałtowność przeproszał. Tańczyli tak „w osiem stron“, jak się to kujawiaka tańczy. Przytupnął wreszcie raz ostatni, przykląkł i sam w przykłęku zostawszy kilkakroć pannę w koło siebie lekkim obrotem puścił. Za czym pra-

wicą wstrzymał ją w miejscu i z kolan jeszcze nie wstając koniuszki białej dłoni całował kornie.

Tak skończył.

Zaraz jęła szlachta w ręce klaskać a drzeć się:

— Ten ci kujawiaka pokazał! Furda wszystkie menuety zamorskie!

Ano, nie lada był z pana Jana tancerz! Śmiał się jeno na te *laudes* i chustką pot z czoła ocierał, panienska zasie płonęła cała jak zorza. Bardzo wdzięczny dawali ze siebie widok.

Aż biskup, co obcasikiem do tego tańca przytupywał z uciechy, wziął pana Kretkowskiego pod ramię.

— Piękna — rzecze — mości panie, byłaby z nich para.

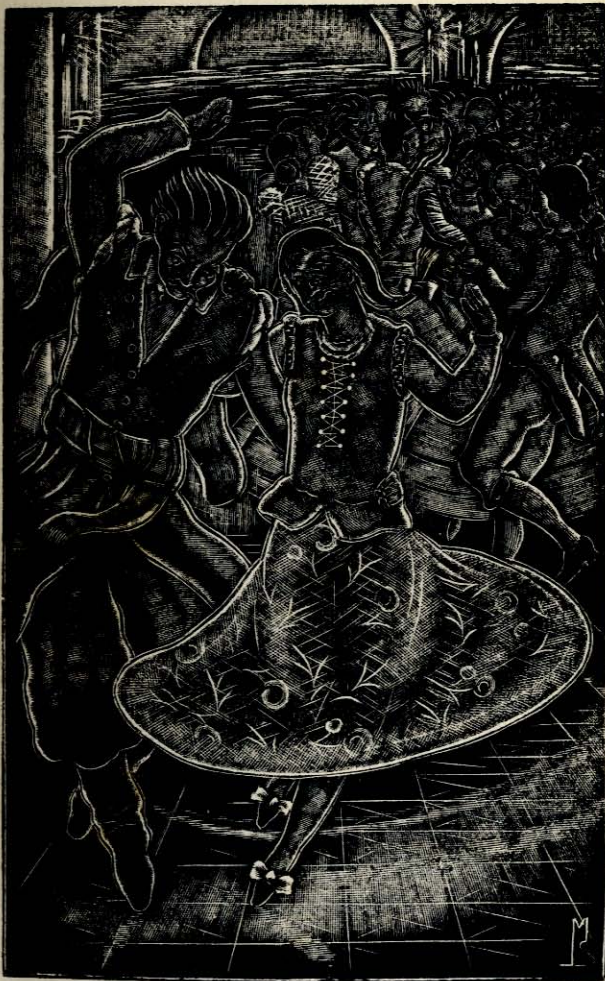
Co Kretkowskiemu nie wydało się wcale.

— Piękna? — mruknął. — Jakoby cugową klacz z wałachem fornalskim sprząc razem.

Obraził się biskup krzywą.

— Takiś to! — myślał. — Żebyś się aby od tego wałacha przychowku nie doczekał. Który cud łatwo się stać może.

Zaraz też do pana Jana podszedłszy obu rękami za głowę go ujął i ucałował wobec całej sali. To



samo uczynił i z panienką, panu Kretkowskiemu na złość i żeby krewniaka swego ubogiego wznieść w konsyderacji. A już i tak szlachta ledwie go na rękach nie nosiła. Niejeden *possessionatus* z dalszej okolicy, na ową brylantową spinkę bogatą się zapatrzywszy, do jejności swojej go ciągnął i córkom prezentował. Młodzież chodziła za panem Janem hurmą, całe jego kawalerskie wzięcie obserwując pilnie, którego na dworze Branickiego na był. Dziw tylko było wszystkim, że się do kielicha nie kwapi: u kogóż bo dobre wino pić, jak nie u biskupa?

Ale pan Jan i bez wina czuł się jakoby w ogrodach rajskich.

Nie raz jeszcze tej nocy ze swoją panną tańczył, a i gadali ze sobą długo. Wydało się też zaraz, że widywał ją w Kłotnie, w parafii, co niedziela, zanim do Branickiego na służbę przystał. Ale że dzieciuch była jeszcze, więc jej tam pod ojcowym ramieniem nie wypatrzył dobrze. Śmieli się z tego oboje, a pan Jan wąsika kręcił z radością, rozumiejąc, że już wtedy pannie wpadł w oko, skoro poznała go po latach i od razu. Dziwiła się znowu ona, skąd pamiętał, że jej Izabela na imię, po

chrzestnej Czartoryskiej? A dziwu nie było tu żadnego, bo drugiej Izabeli ze świecą by na całych Kujawach nie znalazł. Tak oto gwarzyli ze sobą i do takiej wrychle przyszli konfidencji, że lepszej i być nie może. Zdało się im, że nic już ich teraz nie rozdzieli. Aż tu nadszedł ojciec i pannę z balu zabrał. Odprowadziła ich do sań wszystka młodzież i pić chciała z panieńskiego trzewiczka, ale pan Kretkowski kwaśno to przyjął, bo przegrał sporo i po winie zgagę miał okrutną.

Przemienił się panu Janowi świat od tego Nowego Roku! Nic go już nie cieszyło, jeno widok panny owej wdzięcznej! Jeśli do młocki zajrzał kiedy, to chyba przed matusinym zrzędzeniem uciekając, a i pilność do Konfederacji też mu z serca wypadła jakoś. „Zaczekam czasu“ — myślał. A tu karnawał! Oszalał pan Jan. W Gostyninie na jarmarku parę skarogniadą za garść dusiów sprzął sobie do wyjazdu i latał nią po Kujawach, jakby go giez pogryzł. Dziś był — tu, jutro — ówdzie, w domu — nigdy. Ale nie dla uciechy puste, nie! Za panną swoją gonił. Garderobianą w Kretkowie przekupił łatwo i od niej wieści miał najlepsze, co i jak pan Kretkowski z każdym dniem po-

czyna. Toteż gdzie panna, tam i on. Czy bał, czy kulig, czy asambła przygodna jaka — już ich oboje macie. A radzi też byli sobie, radzi! U Karczewskich na weselisku trzy dni spędzili razem: raj to był dla nich, nie gościna! I tak się wtedy nawet w tym dworze zdarzyło, że w przejściu wąskim nimfę swoją trafem napotkawszy, już się pan Jan strzymać rozumem nie mógł, jeno w ramiona ogarnął ją leciutko i nektar z usteczek różanych pił chciwie. Gniewała się nań za to całe pół dnia. A dalej już przysięgi szły za przysięgami, wzdychania a spojrzenia tęskne, jak to zwyczajnie. Wszystką młodzież odsadził od panny na milę: zrywali się też na niego po cichu, a długi pan Jaranowski zaczepki już nawet próbował, tylko mu się język splątał po pijanemu... Sam pan Kretkowski nie gadał na te zaloty słowa, jeno węża kręcił i chrząkał gniewnie. A młodzi nie widzieli nic, co się wokół działo, bo właśnie w oczy sobie patrzyli ciągle. „Co mi tam!“ — myślał pan Jan lekko — „panny przyzwolenie mam, to jakże by się ojciec do zgody nie przychylił“... Udał się panu Janowi ten karnawał, jak żaden.

Aleć po Zapustach idzie i Wielki Post. Urwa-

ły się od razu wszelkie konfidencje, bo urwały się i zabawy. Tyle ją widywał, co w kościele na sumie, co tydzień jeden raz. Mało dla gorącego afektu, bardzo mało. Jęły teraz karteluszeki tajemne między młodymi biegać poprzez garderobianą ową i dziadówkę jedną starą, co się po proszonym chlebie w okolicy tłukła. Ano, całowali te pisma, na pierśiach je nosili, a czytali po sto razy każde. Ale cóż stąd? cóż z tych słów pisanych? toć jakby dREW właśnie pod ogień podkładać!

I jeszcze gorzej. Boć *scripta manent* i w obce ręce wpadają łatwo. Zaraz po Przewodniej Niedzieli skłóciła się dziadówka z garderobianą o talarki za owo noszenie, wzięły się baby za łby, narobiły piekła i zaraz, biureczko panięskie wyłamawszy dowiedział się pan Kretkowski o córki sekretach. Prawdziwie sądny to był dzień w Kretkowie! Dziadówkę psami wyszczuł, garderobianą, poddanek, po dobrej łaźni na furze gnoju do chałupy wywieźli, a i panna Izabela w parę godzin do ciotki kasztelanowej pod Dobrzyń ze łzami jechała i z ojcowskim surowym pismem. Ani do niej słowo rzekł, ani okiem spojrział. „Jazda“ — na woźnicę krzyknął i jechała.

Niedługo wiedział już i pan Jan o wszystkim. Za łeb się z żalu chwycił, bo teraz dopiero dojrzał jasno, że nie bardzo ładnie sobie z panięką młodziutką bez rodzicielskiej zgody poczyną. Aż serce mu się sparło na myśl o tej niebodze. Ano, trzeba było coś radzić! Nie spał pan Jan do rana, wzdychał ze zgrzyoty i wzdychał, wzdychał, ale niewiele wymyślił, chyba jedno: sam panu Kretkowskiemu do oczu stanąć i o córkę prosić. Tak też zrobił. Przed południem jeszcze kazał parę zaprząć, hajduka Maćka przy szabli na kozioł wsadził i sam przyodział się najpiękniej. „Pokpięś, asan, głową“ — mruczał do siebie jadąc — „to ją teraz Kretkowskiemu do nóg chyl, durniu!“

Zajechał przed dwór z fantazją, ale potem kopyta koniom oglądał długo i na furmana klął siarczyście: bał się trochę, żeby go też od razu za wrota nie wyprosilili. Jakoż Ziółkowski, kredencarz i tatumfacki, zachnął się na jego widok, jakby wilka zoczył. Zaraz przecie otworzył drzwi i o dwa stopnie — jako przed gościem — zszedłszy puścił go mimo siebie do sień bez słowa. Taki miał, widać, rozkaz. Pan Jan szablę w kąt sieni postawił i hajduka przy niej, a sam do bawialni małej przeszedł.

Czekał tu już na pana Kretkowskiego Zagrodzki z krzywą gębą, szlachciura mizernej kondycji, co końmi po Kujawach handlował. Ten skłonił się panu Janowi niziutko, który lekko głową mu kiwnął nasłuchując pilnie, jak tu wieść o jego przyjeździe w dalszych pokojach przyjmą. Ale niewiele usłyszał, bo dworzysko było wielkie; dojrzał tylko przez okno, że kozaczek ku stajniom po coś biegł w dyrdy.

A tu już ukazał się sam pan Kretkowski w rannym stroju i prosto do pana Jana szedł z powagą.

— Od dawna wizyty waćpana się spodziewam — mówił łaskawie. — Od dawna. Godziło się starszego sąsiada odwiedzić, żeć to i Zakrzew bliziutko, a i pacholęciem waści znałem.

Zasromał się pan Jan na tyle łaski.

— Mości panie!... — bąkał. — Ja co do tych listów...

— Jakich listów? — przerwał Kretkowski ostro.

— Ano tych, com przez dziadówkę przesłał — spleonął pan Jan.

— Nic nie wiem o żadnych listach! — zachnął się pan Kretkowski. Ale i roześmiał się zaraz. — Aha, rozumiem, rozumiem... — gadał. — Myślisz

mnie waszmość do Konfederacji kaptować, boś i sam, słyszę, do niej przystał. Ale nic z tego, do brodzieju! Gdzieżbym ja przeciw tronowi szedł? Nie, dobrodzieju, nie! Chcesz waćpan guza szukać, to go i znajdziesz, a Kretkowscy z dawien dawna swojej polityki się pilnują...

Rozgadał się pan Kretkowski na dobre i do słowa nikomu przyjść nie dał. Długo mówił a wymownie, jak to wiele Czartoryskich familia o rodzie Kretkowskich trzyma, jak to książę-jenerał koresponduje z nim gęsto, jak to król Stanisław na nim właśnie w tym województwie się wspiera... Puszyl się i nadymał okrutnie, aż Zagrodzki na sam dźwięk tych godności przemożnych na zydlu z wielkiej atencji się kulił. Z pół godziny chyba gadał Kretkowski. Za czym, pod ramię młodziana ująwszy a i Zagrodzkiego za sobą wlokąc, szerniałe dziadów konterfekty im pokazywał, a wojewodami i kasztelanami sypał jak z worka.

Juścić rozumiał pan Jan, dlaczego tak czyni: do poznania dawał, że „wysokie progi na waścine nogi”. Widział już pan Jan, że na nic ta jego wizyta. Zęby też ściał i osowiałym jeno okiem po ścianach

wodził. A wraz i zęgnąć się począł z ceremonią, że to już brzęk naczyń z jadalni słyszeć się dało.

Ale pan Kretkowski ani gadać sobie dał o odjeździe.

— A któż by waćpana o suchej gębie z poczciwego domu puścił! Niemiec chyba. Tego się po Kretkowskim nie spodziewaj!

Nie dał pan Jan rady. Trzeba było zostać, choć i z ciężkim sercem. Już i w bawialni sporo było luda, a coraz to ktoś nowy ze dworu wchodził. Sami zresztą oficjaliści, folwarczni rządce, szlachta, niby, ale hołota. Na sesję ich chyba pan Kretkowski z pola zęgnął, bo każdy przybył, jak stał, w drelichach zwykle. Szepty między tą bracją szły ogromne, a każdy poszeptawszy wyłupiał na pana Jana gały, jak na dziw. Już i Zagrodzki-koniarz śmiał się krzywą gębą brzydko. Co u licha? A tu wszedł jeszcze pan Kowalski, jeneralny interesów dominalnych promotor, i od progu skłonił się panu Janowi w pas, z jawną kpiną.

— Ano, nie lada, widzę, ucztę pan dziedzic dla waćpana gotuje — rzekł. — Nie lada ucztę!

Zmarszczył się pan Jan i wąsika jął szarpać, ale co na to rzec nie wiedział. Podali też właśnie wód-

kę gdańską i nalewki domowe. Rzuciła się brać do jadła i do trunku. Przepił i Kretkowski do pana Jana, za czym pierwszego dłonią do jadalni go prosił i po prawicy swojej usadził. Tam już farfurka nakryta a parą buchająca przed talerzem stała. Gdy rozsiedli się wszyscy a oczy w pana Jana wlepili jak w święty obraz, wstał pan Kretkowski i przykrywkę z owej farfurki zdjąwszy spytał z powagą:

— Czym też aby w gust waćpana utrafił, panie Zakrzewski?

Spojrzał pan Jan — czarna polewka!

A już gruchnął nad całym stołem śmiech, jak grzmot. Ryczała hołota, aż im się brzuszyska o stół tłukły. Co pan Kretkowski dłonią łaskawie na farfurkę wskazał, pokładali się, szelmy, z uciechy wielkiej. Jęli też pokrzykiwać:

— Kwita z myta, panie Zakrzewski!

— A nie mów hyc, pókiś nie przeskoczył!

— Wysokie progi na waćcine nogi!

Panu Janowi wszystka krew z lic odbiegła, a na czoło wyszła zimna rosa. Patrzył chwilę w ową polewkę, jakby w niej oczy chciał utopić, za czym zębami zgrzytnął, rękoma i kolanem pod blat sto-

łu podparł się tego i zaraz go z całą zastawą wyrócił. Okropny dał się słyszeć rumor! Brzęk, łomot, wrzaski poparzonej braci! Ale już pan Jan niczego nie był ciekaw, jeno tę ruinę skokiem przesadziwszy do sieni wypadł, szablę z kąta porwał i z hajdukiem do pojazdu swego uskoczył. Nie wsiadł przecie, jeno z wyszczerzonymi zębami i gołą klingą na swych szyderców czekał. Krwi mu się chciało okrutnie!

Jakoż wysypali się ze drzwi hurmą, ale na widok tej gotowości ostygli prędko.

— Chodźcie, szaraki! — inwitował pan Jan przez zęby. — Kupą chodźcie, psie ścierwa!

Nie bardzo się kwapili, nawet i kupą. Kłęli go tylko i wydziwiali, a każdy bał się podejść. Szczekali z daleka całą zgrają, jak psy właśnie. Aż ukażał się na ganku sam pan Kretkowski i krzyknął spokojnie, choć i ze złością:

— A jedźże, gaszku, do stu diabłów! Jedźże po dobroci, bo cię każę postrzelić!

Za czym sługi swoje zabrał i drzwi zamknął.

Co było robić? Siadł pan Jan i jechał.

Jechał, a w duszy miał śmierć. Zadali mu taką na honorze krzywdę, że o gorszą trudno. Umyślił

ten Kretkowski wszystko, wszystko przygotował z góry, żeby klejnot jego szlachecki przy ludziach w błoto wdeptać. I nie widział pan Jan na tę swoją nędzę rady nijakiej. Ani Kretkowskiego wyzwać, bo i tak nie stanie, ani go zajazdem w Kretkowie gromić, boć i skądże? jakimi siłami? Zapadł się pod panem Janem świat tego południa.

Wrócił do domu szary ze zgryzoty, jak ten popiół, aż matczysko w lica mu ze strachem spojrzawszy płaczem się zaniosała okropnym. A i pan Jan, na trzy spusty w komnacie zamknięty, na stole głowę złożył i gorzkie łzy strząsał. „Nie było nam sądzone, panno miła!“ — pojękiwał cichutko — „nie dla mnie twoja krasa, kwiatuszku złociusienki!“ Do zmroku tak przesiedział, jak Żyd nad talmudem, a coraz srozsze myśli łba mu się czepiały i chichoty już nad swą dolą diabelskie słyszał. Już jąła mu się ręka sama do pistolca ściągać, już kurka w ciemności odwiódł i duszy zbawienie miał stracić. Dopieroż prochu na panewkę sypiąc o Konfederacji wspomniął i o bitwach, co się teraz na szerokim świecie toczą. To było jego szczęście, a i wola Boska wyraźna. Wstał zaraz, pistolcem o kobierzec trzasnął i aże się zatrząsł ze zgrozy.

Wiedział już teraz, co i jak ma czynić. Cały wieczór oręż swój przeglądał i czyścił, a od świtu końmi i kulbaką się bawił. Po śniadaniu, dobrze na długą wojnę opatrzone, matczyisko pod kolana podjął, że niby do Branickiego wraca. Kwilili matusia znowu, ale ze zwyczaju więcej, bo z dawną do tego przywykli, że Zakrzewscy mało doma siedzą. Za czym ruszył pan Jan do Konfederacji we trzy konie z hajdukiem Maćkiem.

Do miasta przyjechawszy pierwszą rzeczą szedł do katedry, żeby się z grzechów swoich paskudnych oczyścić. W kościele, jak to przy sobocie, ludą było dosyć i po konfesjonatach aż trzech księży, dwu młodszych i jeden kanonik stary, tęgawy i łysiuteński. Rozglądając się po modlitwie gorącej dojrzał pan Jan zaraz, że do młodych księży naród kupami się ciśnie, a do starego nie kwapi się nikt. Puściutko było wokół niego jak na wydnie. Siedział też sobie ten ksiądz, brewiarz czytał i surowymi oczyma po kościele wodził. Ucieszył się pan Jan, że długo nie będzie czekać: pilno mu było do spokoju sumienia. Podeszedł tedy, mocno ostrogami brzęcząc, do starca i przy nim klęknął kornie.

Ano, spowiadał się pan Jan. Spowiadał się z duszy-serca, bo siebie samego w wielkiej miał dziś abominacji. Aleć ledwo parę grzechów wyliczył, co mu się pomniejsze widziały, chrząknął kanonik za kratką drewnianą parę kroć tak groźnie, że aż pan Jan stanął w mowie.

— Dalej, duszo nieszczęsna!

Ruszył więc z różnymi grzechami dalej, ale takie teraz szło zza kraty sapanie, że ugrzązł znowu, bo się zląkł, czy się aby starcowi co nie stało. Ale gdzie zaś! Okrzyknął tylko pana Jana wcale mocno i ze złością:

— Dalej, dalej, duszo nieszczęsna! Gadajże!

Nie dbał już tedy pan Jan o owe chrząknięcia, ani sapanie, jeno myśli swoje wczorajsze przed księdza wytrząchnął i opowiadał, jak to rękę miał na siebie nałożyć i sam młodego życia chciał się zbawić. Ze łzami o tym mówił i nawet się w skrusze słodkiej zapamiętał — aż tu naraz jak nie trzaśnie ksiądz w pulpit na cały kościół, jak nań nie huknie wielkim głosem:

— A duszo pogańska! A grzeszniku zatracony! A hultaju! Zamilczcie mi we chwili! Nie

kalaj świętych murów ohydą swoją piekielną! Zamilcz! Toć ów dech siarki smrodliwy na miłę od ciebie idzie! Bogu mi tu będziesz bluźnić?! A ty, owco parszywa! A błaznie!

Zrozumiał teraz pan Jan, dlaczego była w koło starca pustka. Wszystkie oczy w kościele zwróciły się na nich ze strachem, a kanonik wypadł już był z konfesjonatu jak burza, pana Jana garścią z klęczek poderwał i pchał przed sobą z dużą siłą: pan Jan nie opierał mu się wcale.

— Do zakrystii! — wrzeszczał. — Do zakrystii! Żeby nogi twojej w kościele nie było!

W zakrystii spojrzeniem samym kościelnego za drzwi wygnał (aż się stary z prędkości łbem o futrynę wyciął) i drżącą ręką karteczkę jakąś wypisywał długo. Za czym jął tą kartką przed pana Janowym nosem machać i krzyczeć znowu, choć już i nie tak już bardzo:

— To ledwo matczyne mleko wąsem ci zarośło, a już z samym Panem Bogiem wojujesz?! Nie wiesz to, że większego grzechu już i być nie może?! A i mnie, starego, w pokusę gniewu wpędzasz? Odpuszczenia chcesz? Nie mam dla ciebie odpuszczenia!!

Karteczkę panu Janowi w garść wraził i komenderował:

— Ruszaj do Reformatów. Pismo gwardianowi oddaj.

Za czym obrócił się do pana Jana tyłem z sapaniem strasznym. Koleryczny był ksiądz!

U O. O. Reformatów krótką z panem Janem zrobili sprawę. Pismo kanonikowe odczytawszy nie witał go gwardian wcale, jeno braciszskowi jednemu, wcale tęgiemu chłopu, do celi pokutnej wieść kazał. Zobaczył pan Jan *in eo loco* tapczan nie pokryty z drewnianym wezglowiem, stół sownowy i stołek jedyny z glinianą miską. Więcej nic. A zaraz wszedł znowu ten braciszek z dyscypliną w ręce i rzecze do pana Jana:

— Rozbieraj się waść do pół ciała! A i koszulkę zewdziej, bo szkoda.

Nadstawił więc pan Jan gołych pleców, a braciszek ręki nie żałował, nie! Bił z pełnego ramienia. Pan Jan zęby zawał i pręgi krwawe na skórze liczył dla rozrywki, żeby nie jęknąć. Dobrze go bili i dość długo.

Ustał wreszcie braciszek i mruknął:

— Jutro będzie gorzej.

Przyniósł jeszcze panu Janowi chleba czarnego bochen, dzban wody i dwie książki nabożne, po czym Chrystusa Pana słowem pochwalił i drzwi za sobą zamknął.

Oj, ciężkie to były rekolekcje! Co ranka przychodził ów braciszek na egzekucję, aż panu Janowi łzy niewolne ciurkiem na kamienie się lały i pół dnia z sykaniem po swej celi biegał. Resztę czasu księgi owe grube czytał, nad życiem swoim rozmyślał i chleb czarny jadł bardzo chciwie. Jenemu mu się cniło do ludzkiego słowa. Braciszek na wszystkie zaczepki odpowiadał tylko: „*Laudatur Jesus Christus*“, na co nic więcej rzec się nie dało, jeno: „*Per omnia saecula saeculorum*“. Tyle było ich rozmowy. Ale nie skarżył się pan Jan wcale. Mógł wyjść każdego czasu, boć nie pod klucz go przecież wsadzili — a siedział.

Czwartego dopiero dnia wszedł do niego z sapaniem ów stary kanonik. Przyjrzał mu się surowo, chrząknął i pyta:

— No, jakże ci tutaj? Biją?

Co było gadać? Ucałował pan Jan księdza w ramię milcząco. A ten ręką po włosach go pogładził i za całą pociechę rzekł tylko:

— Módl się, synu.

Ale przecież po jego wyjściu zmieniło się wszystko. Zaraz pana Jana sam przeor do refektarza na wieczerzę prosił, mógł już z Ojcami modły w kościele odprawiać i w ogrodzie klasztornym siedzieć. Ów braciszek z dyscypliną niemiły też nie pokazał się więcej. A w sobotę znowu, do tygodnia, wołał go kanonik do katedry i po spowiedzi dokończeniu dał mu absolicję z wielką łaskawością. Bardzo mu też ów zamiar akcesu do Konfederacji chwalił.

Teraz okazało się zacne księdza serce: wieczorem kosz starego węgry przysłał mu do zajazdu, a i sakiewkę z pięciu dusiami na wojenną drogę. U niego też na obiedzie poznał pan Jan szlachcica starszego, konfederata, co właśnie z ran uleczony, z powrotem w Wielką Polskę do rejmentarza Sieraszewskiego się wybierał. Zabrał się z nim i pan Jan do Konfederacji.

Zrazu nie bardzo mu się ta Konfederacja udała. Jeneralność zapadła sobie w Preszowej na Węgrzech bezpiecznie i winem tanim dobrze się racząc pakta niby to z obcymi dworakami wiodła, a w wojskach swoich intrygi tylko siała i mąt

okrutny. Wojska te zaś — pozal się Boże! — do band hultajskich raczej, jak do żołnierza były podobne: co drugi towarzysz miał tam worek słomą wypchany za siodło, a szablisko na sznurku w węgorskiej pochwie. Później dopiero, przy lepszym rzeczy zrozumieniu a i wodzach ostrzejszych, doszli i do mundurów, i do broni niezgorszej, choć z wielkim spokojnego obywatela ciemnictwem. Jedno do prawdziwej sztuki wojennej nie doszli nigdy, że to naród za ostatniego spokojnego panowania zależał i od wojaczki odwykł na amen. Jedno cieszyło pana Jana najwięcej: a to że król-jegomość, jak mógł, na całą tę zawieruchę przymykał oczy; z samą więc prawie Moskwą mieli robotę i krwi braterskiej niewiele się lało.

Sługiwał pan Jan naprzód pod Malczewskim, ale jak temu pod Błoniem dobrze skórę sprali, przeniósł się do pana Zaremby. Był ten Zaremba pan znaczny, koligacji pięknych i niebiedny, przy tym głowa tęga i polityk: zawsze też jednym okiem ku Preszowej strzygł, żeby Jeneralność ukontentować, a drugim — ku Warszawie, żeby i króla Stanisława za bardzo nie ukrzywdzić. Ale na żołnierce znał się dobrze, bo w kompucie wojsk

koronnych rangę miał majorską i trzy lata na hajdamactwie się zaprawiał. Zostawszy marszałkiem wielkopolskim do trzech tysięcy ludu pod sobą wodził w dość dobrym przeciw porządku i opatrzeniu. Przymuszony, wrogowi stawał ostro, ale sam mu się nie naprzykrzał: rozumiał, żeć pobić i tak nikogo nie pobije, więc obcych potęg pomocy czekał raczej, albo całej Konfederacji końca. Najwięcej po Sieradzkim się przechadzał i pod Częstochowę zaglądał często, że to i tu i tam dobra miał obszerne.

Zakwitł pan Jan pod tym marszałkiem, że to przeciw był żołnierz, a nie ziemianin, ani rejent. Po krótkiej ledwie próbie dał mu pan Zaremba patent na rotmistrza, a wrychle regimentarzem konfederacji kujawskiej go zrobił. Niewiele tego było, do stu może koni, ale już się pan Jan do wodzów liczył. Dobrze mu się działo. Do bitki skory był jak nikt, a determinacji iście rycerskiej. Nie żeby śmierci szukał, ale rozżerał się w potyczce jak lew i pardon dawał rzadko. Pod Piotrkowem, pod Koninem i Poznaniem z takim ogniem stawał, że chyba i sam pan Kazimierz Pułaski lepiej by nie mógł. Srogi się pan Jan tymi czasy zrobił, że to i trupa

ludzkiego widział już dosyć, i też gorzkich tyle, że w każdą by ich nie zebrał. Jak to na wojnie. Ludziom swoim nawet przyciężki bywał, a przecież go lubili. Łafę miał dobrą, łupy same szły mu w ręce, niejeden też dobrze nabity trzosik w kulbace woził. Niezgorzej mu się działo.

Tak oto wojsku się pokazawszy prosił pan Jan pana Zarembe po roku, żeby go na Kujawy (które królewskie przeważnie były) puścił. Ano, dobrze. Dał mu marszałek werbunek wolny i uczynił *ex-actorem* do wybierania pogłównego i *hiberny*. Wziął tedy dwadzieścia koni najlepszych i poszedł. Nad biedotą się nie zęcał, ale panków możniejszych, w moskiewską opiekę zadufanych, przyciskał mocno. Zapuścił się aż pod Chodecz: żeby też i matusię starą odwiedzić, i trzosików z dusiami koniowi doma ulżyć, a i pana Kretkowskiego o zdrowie zapytać grzecznie.

Wpadł do tego Kretkowa z umysłem przed świtaniem jeszcze. Hałas wszczął się od razu wielki, bo stróża nocnego, co z otwieraniem bramy zwłóczył, pobili krzywą. Rozświetliło się we dworze parę okien i kredencarz stary z piętra zaraz ku nim wyrzwał. Obaczywszy wojennego luda ręką kiwnął,

że odmykać bieży, a przecie długi czas drzwi zawarte trzymał. Jeśli ich tedy żołnierze siłą dobywać, kilku zaś ludzi przyczaił pan Jan od ogrodowej strony za krzakami, rozumiejąc, że jeśli Kretkowski uciekać zechce, to tyłami. Jakoż wrychle skoczył dziedziec z ciemnego okna w ogród i prosto ku tym krzakom ruszył. Tu go i wzięli. Trepki miał jeno, nieborak, na nogach i szubkę na gołym ciele: uciesznie się prezentował. A już i dom otwarli. Zasiadł pan Jan w bawialni z oficerami i kazał sobie pana Kretkowskiego przywieść.

Huknęli oficerowie śmiechem na Kretkowskiego widok, roześmiał się i pan Jan:

— No, jakże panu teraz, panie Kretkowski? Nie rzekł zrazu tamten nic, jeno dychał ciężko.

— Poznajeszże mnie, panie Kretkowski?!

— Może bym i poznał, choć boję się waćpana za zbroja wziąć, że to i noc.

Trzasnął się pan Jan po szabli ze złością i rzekł ostro:

— Ejże, panie Kretkowski! Bo jak waćpanu o łeb iskrę skrzęsam, zaraz mu się rozwidni! Ra-chunki *hiberny* mi tu dawać!

Widział pan Kretkowski, że to nie przelewki, a i o kieszeń szło. Przymilkł tedy i na intendenta dobrów wszystko zwałił, Kowalskiego, owego co się ongiś z pana Jana naśmiał tego. Kazał go więc pan Jan za łeb ściągnąć, jak stoi. Przywlekli w bieliznie i jego.

Ten zaraz krzyczeń zaczął:

— Toć to nie *exakcja* żadna, tylko rabunek! Zaisieczcie, a nie dam! Hultaje!

Rzekł pan Jan:

— Dajcie mu który w pysk, żeby sobie wojskami naszymi wąsów nie wycierał!

Dali mu, i dobrze. Porwał się pan Kretkowski sługi bronić, ale go pan Jan za rękę wstrzymał.

— Ejże, panie Kretkowski, ejże! — gadał przez zęby cicho. — Bo dziś to ja waćpana postrzelić każę!

Nie było rady. Jeśli liczyć, a i wypłacili się zaraz, bo w innym razie obiecał pan Jan brać dziedzica ze sobą do Konfederacji, żeby się też ramieniem ojczyźnie miłej przysłużył. Nie kwapił się pan Kretkowski do tej służby, jeno wypisany kwit schował i iść ubierać się chciał. Ale i tego mu pan Jan nie przyzwolił.

— A nie, panie Kretkowski! Masz gości, to ich choć widokiem swoim pańskim naciesz!

I żołnierza do niego przystawił.

A już konfederaci kazali sobie dawać, co było w domu najlepszego, i win przednich nie żałować. Dawano im wszystko chętnie, bo strach był wielki, żeby sami nie brali. Podpiwszy usadzili między sobą biedaków owych rozdzielonych i natrzęsali się z nich pełną gębą. Użył sobie wtedy pan Kretkowski, użył za pana Janową krzywdę!

Sam pan Jan nie patrzył na to wcale, jeno na ganku siadłszy zgryzotę w sobie czarną motał. „Użyło mi na honorze, prawda“ — medytował, — „ale już teraz z afektów nie będzie nic“. — Uważał też, żeby mu się ludzie zbyt nie popili. Jak już za wielkie były wrzaski, otrąbić kazał do koni i cwałem stamtąd ruszył.

Znów już u pana Zaremby i na koniku harcując myślał sobie pan Jan, że teraz wszystko między nim a panną Kretkowską skończone na amen. A przecie czekała go niespodzianka od niewieściej przemyślności. Kiedyś Maciek-hajduk, którego do Zakrzewia posyłał, przywiózł mu prócz matusinego jeszcze i drugi list, niekrótki. Zaraz pan Jan w pą-

sach stanął, jak nań spojrział. Od Kretkowszczańki. Pisała panna serdeczna, jako wie o wszystkim i oczęta sobie modre wyplakuje, ale niechże sobie nie robi z tego wiele, jeno zdrów z wojny wraca, bo ona mu afektu dochowuje statecznie i raczej do klasztoru jak za innego iść zamierza. Łzami pan Jan to pismo oblał i Maćka wezwawszy za głowę go oburącz ścisnął, dwa dukaty mu dał i wolę po wojnie obiecał. Skruszało mu serce w słodkości wielkiej. We chwilę tedy, żeby ów dzień uczcić, na podjazd poszedł i przed wieczrą jeszcze kozaków Drewiczowych przetrzepał tego. Ale nie kazał jeńca mordować, tylko z łupów, z broni i z mundurów obdarłszy puścić wolno. Niechże i oni się cieszą, a pannie jego dziękują.

Tak to sobie pan Jan wojował pomału. Aż tu preszowska Jeneralność, nic innego dokazać nie umiejac, wydała na króla instrument detronizacji. Zawrzało w Warszawie jak w ulu. Król Stanisław, choć na sercu miękki, takiego przecież afrontu znieść nie mógł. Hurdu-burdu! — umyślili król z Branickim Konfederację zdusić, a najpierw Zarembe zgnieść, że to pana Pułaskiego, co po fortecach przypadał, na ząbek brać się bali. Inna

zaś rzecz pan Zaremba, co jeno w polu stał konno. Tego obiecywali sobie w czapkę wziąć. Branicki okrutnie się zapalił do tej imprezy, jak to człek młody i wielkiej gorączki. Hułanów królewskich ze sobą wziął, gwardię litewską konną, Byszewskiego jenerała pułk lekki — i na pana Zarembe poszedł. Wszystką Moskwę, co drzemała po miastach, też mu ku pomocy pod komendę dali.

Zaremba-polityk bardzo się na detronizację zgniewał. Nie publikował jej ze złości wcale, a i ze strachu, żeby mu się na tę wieść połowa wojsk nie rozbiegła. Słyszac od szpiegów, że Branicki na niego idzie, ściągnął swoje siły pod Widawę — miasto w Sieradzkim i tam na niego czekał. Strasznie mu się bić nie chciało!

Przecież, jak poszedł Branicki pod tę Widawę, a szyk do bitwy rozwinął, wyszedł i pan Zaremba w pole. Cudny to dało widok. Żołnierz królewski aże się od barwy jarzył, a i konfederaci w pierze już podrósłszy mundurem połyskiwali gestó. Przyglądały się sobie te wojska z ciekawością — czy też z przyjaźnią — czas długi. Aż zagrała trąbka i oficer królewski z białą chustką ku konfederatom skoczył. Zjechały się też zaraz oba sztaby po śród-

ku pola, a oba tak złotolite, iż — rzekłbyś patrząc — słońce na ziem spadło. Witali się Branicki z Zarembą z kawalerską grzecznością i gadali ze sobą chwilę. Za czym rozjechawszy się do swoich kazali mocno w trąby uderzyć na odwrót. Otrąbiono rozejmu pięć dni.

Ledwie odwiódł pan Jan swoich Kujawiaków na kwatery, wołali go zaraz do pana Zaremby. Zastał tu już Branickiego z najprzedniejszą oficjerią, a i regimentarzy wszystkich: tych Branickiemu Zaremba po starszeństwie prezentował z ceremonią. Skoro na pana Jana kolej przyszła, rozłożył Branicki ramiona szeroko jak wrota:

— Tuś mi Jasiu, zdrajco! — huknął. — Tum cię i czekał! Pójdź, niechże cię uściskam, chociaż wróg!

Jakoż ścisnął pana Jana za głowę oburącz i w lica ucałował. Spłonął pan Jan jak róża z uciechy wielkiej i honoru: przecież go Branicki nie zapomniał!

A już stoły czekały na nich zastawione, we wszystko, szczególnie zaś w trunki, obfite. Gdy dobrze podjedli, zadzwonił pan Zaremba w kielich kryształowy i w mowie kwiecistej wielkie atencje Bra-

nickiemu świadczył, żal swój podnosząc zwłaszcza, że choć major komputu wojsk koronnych przeciw wodzowi stawać musi. I znowu Branicki ze łąką w oku nad serc rozdarciem w ojczyźnie i walką bratobójczą bolał. Zaraz też jęli oficjerowie królewscy i konfederaccy dłonie ku sobie wyciągać i krzyżeć:

— Nielepiej by to nam było w jednym wojsku, jednej ojczyźnie służyć?!

Za czym pijatyka wszczęła się ogromna. Zrazu gadali Branicki z Zarembą o polityce po francusku, ale gdy ciągle ich zdrowia wznoszono, musieli też pić duszkiem i gęsto. Nie wzdragali się, nie! Pić mogli, że to obaj męże byli silni, w kwiecie lat, i łby mieli jak z kamienia. Wrychle uszy panu Janowi spuchły od wiwatów i hałasów. A jeszcze co który z wodzów puchar do ust chylił, ustawiona na dworze chorągiew oddawała salwę siarczystą. Dużo namarnowali wtedy prochu!

Pili wodzowie ze sobą, piła i oficjeria. Każdy z każdym rajcował, co mu do serca przypadł. Wtedy dopiero dowiedział się pan Jan o detronizacji króla i zafrasował się strasznie. Nie wydało mu się to, Boże! jak nie wydało! Nie pod tym zawiązy-

wała się Konfederacja hasłem. Wiary pogwałconej i ojczyzny przed Moskwą szedł bronić, a nie króla z tronu zrzucić. Cóż mu do króla Stanisława? Niech sobie panuje zdrów. Strasznie się pan Jan zmartwił. Żeby tak nie przed bitwą samą, to by rzucił chyba wszystko i poszedł. Bo po cóż ma za pańskie intrygi łba nadstawiać? Zamilkł tedy pan Jan ponuro i popijał zwolna, choć nawet i wino kwaśne mu się dziś widziało... Ale pił przecie.

Pili tak ten dzień i drugi do późnej nocy. Trzeciego dopiero dnia po śniadaniu, też dobrze podlanym, zawieźli Branickiego do jego wojsk, a Zaremba też, jak stał, na łoże się zwałił. Pojechał i pan Jan na kwatery, bo już każdemu wywczasu było potrzeba.

Ale nie bardzo się wyspał. Po paru godzinach zbudziły go krzyki we wsi, rwetes piekielny i strzelanina bliska. Ki diabli?! Skoczył przed próg, pa-trzy: Sieradzanie kupami ulicą w ucieczce walą. Chwylił jednego za powód, ten wyrывa się z wrzaskiem:

— Hułani koronni na nas wpadli! — **rotmistrz** Grodzicki zabity! Zdrada!

Rany Boskie! Otrąbił pan Jan „do koni“! i z najzwałszymi ze swoich prosto na strzelanie cwałem sadił. Zaraz za wsią dojrzał całe konfederatów z hułanami spotkanie. Zwolnił tedy, chustkę białą na sztych szabli zatknął, wysoko ją wznosił i hukał:

— Halt! Halt, panowie królewscy! Rozejm!! Konfederaci wszyscy też krzyk wzniesli wielki: — Rozejm!! Rozejm!!

Poskoczył doń oficer hułanów, też biały jak ta chusta.

— Gdzie rozejm?! Jaki rozejm?! Tchórzom zawsze rozejm!

— Toć słyszysz, asan — pięć dni rozejmu! Co robicie najlepszego, głąby! Da wam Branicki za ten huczek, da!

Zaś widząc, że jego te hułany ogarną, uskoczył zaraz, żeby do Zaremby biec prosto. Strzelił za nim ów oficer, ale chybił z gorączki. Minęli jeszcze po drodze trupa pana Grodzickiego, Zarembowego szwagra, co go do Widawy nieśli.

Zaremby ledwie się dobudzić mógł, choć trząśł nim dobrze. Zrozumiawszy wreszcie wszystko o tej hułanów napaści i szwagrowej nielitosnej śmierci,

skoczył Zaremba na równe nogi, w pierś się trzasnął i krzyknął strasznym głosem:

— Wielki Boże!! Ciebie biorę za świadka, że nie ja łamię kawalerski parol!

Zaraz też ruszył wszystkie swoje wojska i sam je sprawiał. Po całej okolicy zagrały trąby do bitwy okrutnie i zaraz biegły zewsząd chorągwie konfederackie na swoje miejsca, jak na paradzie. Bardzo im zgrabnie poszło. A już i królewscy jęli się na gwałt ruszać, bo im się z nagłą leże niewygodne zdały. I ci też na zdradę kleli, a krzatali się, niebożątka, rażno. Ale co późno, to i próżno. Nie czekał wcale pan Zaremba na ich gotowość. Już uzarowie konfederacy wyborni złamali dragonię litewską i wpędzili ją na hułanów i kawalerię By-szewskiego lekką, co jeszcze nie trzymała szyku. Z drugiej strony wpadł na nich regimentarz mazowiecki i Morawski - pułkownik, a dopiero sam Zaremba z sieradzką dywizją zagarnął ich z trzeciej w twarde łapy. Ani zipnąć mogli. Kupami całymi podawali tyły i przedzierał się każdy, jak kto mógł. Latał jeszcze Branicki między swymi i do walki zagrzewał, ale gdzie! Bronili się właśnie

jak owce przed wilkiem. Przyszło i Branickiemu uciekać.

Nie trwała ta bitwa i godziny.

Pan Jan widząc tę królewskich klęskę i rozsypkę, na oficjera dowództwo zdał i tylko już na Branickiego uważał. Skoro tamten z pola zszedł, puścił się za nim ze swym Maćkiem zaraz. Zaczęto miać Branicki konia, ale i bieguny zdobyczne bardzo dobre. Odsadzili się też od wszystkiej pogoni i gnali we trzech jak wicher. Pan Jan pokrzykiwał raz po raz:

— Stój, jenerał!! Stój, na Boga! Zakrzewski!!

Ale Branicki spinał na to konia ostrogami i rwał jeszcze ściglej. Sadzili tak — rów to rów, ugór to ugór, ruń to ruń — na złamanie karku. Aż wleciał jenerał nad rzeczką na mokre łąki, przebiegł po nich z rozmachu parę prętów i aże po brzuch się z koniem w bagno zapadł. Zaklął wtedy straszliwie.

A i pan Jan z Maćkiem w mig nad tą łączką stali. Wyciągnął wtedy Branicki pistolet z olster, podsypał prochu i huknął:

— Nie podchodź, Jasiu! Żywcem mnie, zdrajco, nie weźmiesz!

Ale pan Jan nie zważał na to nic, jeno szedł do niego po wodzie prosto. W piersi się tylko bił i krzyczał:

— Na honor kawalerski i na Pannę Najświętszą przysięgam! Ratować idę!

Uwierzył, widać, Branicki, bo opuścił pistolet i burknął:

— To ratuj.

Dopiero jęli we trzech konia z bagien dobywać. Utyłali się przy tym, jak wieprze. Jak siedli już znowu, pyta pan Jan:

— Dokądże pana jenerała wieść? Do Warszawy?

Zeżlił się Branicki okrutnie.

— Bodajeś zaniemówił, jucho! Piekło dla mnie, nie Warszawa! Masz ratować, to ratuj, a nie gadaj do mnie nic. Wszyscyście zdrajcy, psiekrwie!

Wywiedli tedy konie na trakt i ruszyli dalej dobrą rysią. Nie tylko już pan Jan do jenerała nic nie gadał, ale bał się nań i okiem rzucić: wyglądał bo Branicki jak upiór. Gębę miał od trunku opuchłą i czerwoną jako ogień, węs i brwi skudłate, oczyska wylazły mu okropne, krwią nalane, a złe jak diabeł. Musi i pijany był jeszcze, bo

co chwila pot wraz z błotem na licach chustką rozcierał. A sapał strasznie.

Zrobili tak ze trzy mile, aż Branicki jął nie sapać już, jeno stękać. Ozwał się wreszcie:

— Rany Boga, Jasiu! Stańże, bo ducha wyzionę!

Otrzeźwiał, widać, bo przybladł z nagła na opłatek i trząsł się całym ciałem. Przepłoszył się pan Jan na dobre. Ale już byli pod Łaskiem. Skręcił pan Jan zaraz do bliskiego boru, gdzie leśnika pewnego z różnych podjazdów swoich znał dobrze. Doszli do tej leśniczówki stępa, ramieniem Branickiego podpierając. Ledwie go z konia zdjęli, już chrapał. Zmogło i jego, choć mocarz był tęgi: ano, trzy dni pił bez przerwy i nie spał prawie.

Zostawił pan Jan Maćka przy koniach, a sam przez calušką noc żydów na zydlu woził, bojąc się zlec, żeby we śnie ich nie opadli i nie powiązali. Umyślił też na tym zydlu, że jenerała do siebie, do Zakrzewia, weźmie. Musi teraz to niebożatko — myślał, na chrapiącego poglądając — po bitwie nieślawnej przycupnąć na chwilę, przypaść pod okiem ludzkim jak szarak w kotlince. A gdzież mu będzie

bezpieczniej, jak nie na Kujawach, i lepiej, jak nie u pana Jana?

Przed świtem zbudził Branickiego i mówi:

— To ja teraz na przewiad do Łasku. Maciek mój zostanie.

Spojrzał nań generał ponuro, bo znów zdrady się przeląkł. Ale cóż miał robić?

— A jedź do diabła — mruknął i zawałił się spać dalej.

Wjeżdżał pan Jan o świtaniu do tego Łasku bardzo ostrożnie. Ale z dala dojrzał już w rynku konie pokulbaczone i żołnierza w królewskich barwach huk, a hułanów najwięcej. Też widać umykali spod Widawy tego, bo szkapska aże łby powieszwały z nuży. Jak pagadał pan Jan z oficjarami, wszczął się gwałt. I pacierza nie minęło czasu, już szli na leśniczówkę wcale pięknym poczem.

Wpadł pan Jan w izbę i znowu do Branickiego:

— Panie generale! Wstawac! Chorągiew generałowi przywiódłem!

Skoczył Branicki z łoża, patrzy przez okienko — swoi. Stoją murem. Nie rzekł nic, jeno o wodę do mycia naglił i czyścić się kazał prędko.

Za czym wyszedł z marsową miną, nogi rozstawił, łba podniósł i jął kpać żołnierza najgorszymi wyrazy:

— A psie syny! A rakarze! Takieście to wy wojsko?! Tchórze! Z babami wam na piecu wożwać, juchy!

Wybrał pięćdziesięciu chłopa, samych hułanów, z dwoma oficjarami, resztę skłął znowu i do Warszawy wysłał. Zjadł rynienkę jajecznicy, złoto leśnikowi rzucił i — poweselał.

— Dokądże teraz, Jasiu. wiesz? — spytał.

— Do siebie na Kujawy, panie generale! Tam przeczekamy.

Roześmiał się Branicki i trzasnął pana Jana w plecy aż jęknął.

— Zuch z ciebie, Jasiu! Zuch! Prowadź!

Ruszyli teraz na północ nieśpiesznym pochodem, że to i strachu nie było już takiego, a i koni oszczędzać musieli na traf wszelki. Generał zrazu drzemał więcej na siodle, ale jak podjadł parę razy po szlacheckich dworkach a i przespał jedną noc dobrze, wróciła mu fantazja zaraz i znowu sobie nic z niczego nie robił. Rad był, że się i tak udało. Zbierali sobie po drodze gromady królewskiego

żołnierza, jak w Łasku, i wrychle ciągnęli huczno i z wielką paradą.

Teraz dopiero rozpytywał Branicki pana Jana, jakże to z tą bitwą było. Dowiedziawszy się o wszystkim ucieszył się bardzo.

— Co gadasz?! — wołał. — I szwagra Zarembe ustrzelili?! A widzisz, a widzisz, Jasiu, zarazem myślał, że ten Zaremba nie taki, żeby parol łamał!

— Nie taki, panie jenerale! Jeno ciągiem nie miarkuję, skąd ci hułani na nas wpadli?

— Ano, popiliśmy się paskudnie. Ciągnęła za nami chorągiewka, com ją z umysłu opóźnił. Ona o rozejmie nie wiedziała nic, a my o Bożym świecie. Przepomnieliśmy o tej chorągwi na śmierć! Obeszła nas, widać, szelma, bokiem i prosto na was. A za moment już pan Zaremba na nas siedział.

— Toście i strzelania nie słyszeli?

— A nie. Pijaństwo przekłete winno. Prosto zza stoła na koń, bo już bitwa. Ledwie mnie wdygowali, a i tak cud, żem na łeb nie zleciał. Sameś widział, jaki byłem. Ale z pana Zaremby zacny kawaler a i żołnierz dobry!

— A dobry.

Roześmiał się teraz Branicki na całe gardło:

— Bój się Boga, Jasiu! Tożes ty, jucho, znowu zdezerterował! Jakże z Konfederacją będzie?

— Nic nie będzie, panie jenerale! Już do niej nie wrócę.

— Takiś to wytrwały?

— Nie wytrwały, jeno się Jeneralność na króla porwała.

— Ta deklaracja ci się, Jasiu, chwali. Wielka jeszcze u nas potęga król, szczególnież że i Moskwa za nim stoi. A i ciebie nagroda nie minie.

— Ja nie dla nagrody.

— A dlaczego znów?

— Dla sumienia.

Pokiwał jenerał głową litościwie.

— Oj, Jasiu, Jasiu! Nie będzie z ciebie ludzi! Za głupis! Po cóż Krasiński tę Konfederację wiązał, a Panie-Kochanku do niej przystał? Po co, myślisz? Żeby króla zrzucić. A jak ci do króla nic, to po cóżes sam do niej lał?

— Wiary i ojczyzny uciemężonej bronić.

Rozgniewał się Branicki mocno.

— Psiakrew, Jasiu! Gadasz jak kapucyn, a nie jak pan z panów! Toć z twojej wiary, jucho, wszy-

stkie filozofy we Francji się śmieją. I nie filozofy tylko, ale biskupy, nawet kardynały! A o ojczyźnie wiedz, że ona dla człowieka, nie człowiek dla niej. *Ibi patria, ubi bene*. Jak ci ta ojczyzna nie wygodzi, to sobie innej szukaj. Nie wiesz to, że krewniak choćby twojego Zaremby królowi pruskiemu wierne służy, a i ja sam, jak zechcę, u najjaśniejszej carycy dziś rangę mogę mieć wysoką. Jeśli jest co jeszcze na świecie pewnego, to chyba kawalerski honor, a reszta furda.

Machnął Branicki ręką z gniewem, na konia cmoknął i rysią poszedł. Milczał i pan Jan. Nie dziecko już był i wiedział dobrze, że magnatom tylko o swoje interesa idzie. A i o to zadanie sobie hołoty obraził się krzywą. „Wielkiś ty pan, prawda“ — myślał — „ja mniejszy, ale przecież taki sam szlachcic, jeśli nie lepszy. Rozdęło cię jak byka na dobrej paszy, to i bodziesz. A ja, Zakrzewski, dla honorów ani wiary swojej nie opuszczę, ani na Niemce służyć nie pójdę. Tak mi, Boże, dopomóż“.

Ledwie przecie parę staj rysią przeszli, zdarł Branicki konia i znów do pana Jana:

— A cóżes ty, Jasiu, u licha, taki markotny?

U mnie weselszy bywałeś: odmienili mi cię w tej Konfederacji. Masz co na sercu?

— Mam.

— To gadaj, jak przyjaciel pyta.

Wiedział Branicki, jak do swego Jasia trafić. Spochmurniał pan Jan jeszcze bardziej, ale rzekł zaraz:

— Krzywdę swoją na sercu mam i afekt nieszczeniwy.

Opowiedział też wszystko, jak było, nic nie tając. Wielką okazał Branicki ciekawość do pana Janowej sprawy: aż mu się lica mieniły z ochoty przy słuchaniu. Jak do owej polewki czarnej doszli, zębami zgrzytnął i pięść zaciskał raz po raz, na wiadomość zasię o konfederackiej w Kretkowie wicie śmiał się tak, że konie wystraszył.

— Bój się Boga, Jasiu! — krzyknął. — Nie wiedzieć, czyja tu jeszcze krzywdą!

— Niebogi mojej największa!

— Niebogi twojej — to pewna! — Takiś ty niby, Jasiu, trusia, a na wielkie rody oczy wznośsz.

— Samem dobrego rodu — burknął pan Jan.

— Nikt ci tego nie neguje. Ale inna rzecz —

ród dobry, inna znowu — możny. Twardy ten pan Kretkowski, ale nie frasuj się, Jasiu, nic. Cała Warszawa za afektem twoim stanie, wszystkie baby, a i król Stanisław ucieszy się wielce. Nie da rady i pan Kretkowski.

Tak sobie gadali w tej drodze. Maj był właśnie miesiąc i cudny. Dobrze było iść z wojskiem po zielonym świecie.

A tu jeszcze dobiegła ich w Łęczycy wieść, że pan Zaremba po owej wiktorii rozpuścił wszystkie swoje wojska i sam na Śląsk wyjechał. Żydy szwargotały o tym po całym rynku. Branicki huknął się w kolano ze zdumienia i radości.

— To ci lis chytry! Senatorski łeb! — krzyczał. — Rozumiał, jucha, że nie masz już dłań w Polsce spokoju! Na zgodę iść umyślił.

Zaraz też kazał dać dobrego wina i zdrowie pana Zarembowe pił duszkiem. Ale jeden tylko kielich. Za czym za stołem w zajęździe siadł, wypędził wszystkich i listy do króla Stanisława i do przyjaciół wypisywał całe pół dnia. Pchnął też z nimi na noc do Warszawy oficjera w dziesięć koni.

Sam dalej przez Kutno na Kujawy ciągnął.

Dojechawszy chorągiew jedną do Gostynina,

drugą do Kowala wrzucił, żeby je mieć pod ręką, a sam w dwadzieścia koni w Zakrzewiu spoczął.

Rany Boskie! Toż to się przestraszyli matusia w Zakrzewiu, jak jenerała a i łowczego wielkiego koronnego gościć im wypadło! Nawet i syna zrazu przywitać nie śmieli, jeno przed tym dygnitarzem dygali raz po raz, fartuch na sobie drżącymi dłońmi szarpiąc. Dopieroż jak ten magnat ucałował im rękę z galanterią, ulżyło matusi nieco. Wdziali na siebie robron staromodny sztywny i chodzili w nim całymi dniami godnie, pyszniąc się bez miary, że Jasio ukochany w tyle zacnej bawi się kompanii!

A tu jęli się do Zakrzewia sypać z Warszawy posłańcy za posłańcami, a i kurier królewski z listem odręcznym przybiegł wrychle. Jak przeczytał jenerał to pismo, uściskał zaraz pana Jana z wielkiej uciechy i *stante pede* darował mu Michałowce na Podolu z dwoma folwarkami. Wymawiał się pan Jan z wielką konfuzją, ale gdzie!

— Miłujesz mnie, Jasiu? — spytał Branicki.

— Miłuję, panie jenerale — spłonął pan Jan.

— No to nie gadaj, jucho, nic!

Tyle było tej rozmowy.

Przybył jeszcze z Warszawy Możdzeński-puł-

kownik i garderobę jeneralską z sobą przywiózł, co bardzo się przydało, że to Branicki już w pana Janowych koszulach a i onuczach chadzał... Wesoło było w Zakrzewiu. Strzelali sobie panowie z pistoliców do dębu, koni próbowali co lepszych i piwnicę rodzicielską suszyli tego. Co wieczora stawiał pan Jan przed Branickiego własny jego puchar herbowy z Korczakiem rżniętym.

A niedługo zwiedziła się i cała okolica o tej w Zakrzewiu wizycie. Jęła się też zrazu bliższa szlachta ruszać, a po tygodniu i z dalszych nawet stron: każdy chciał u królewskiego faworyta swoje interesa promować. Świecili bakę i panu Janowi, a w Branickiego patrzyli jak w obraz. Jenerał z bracią rad gadał, a obiecywał wszystko, czego dotrzymać mógł i nie mógł. Ludzki był pan. Czekał jeszcze odwiedzin pana Kretkowskiego, ale tych się właśnie nie doczekał. A tu ksiądz biskup kujawski na gwałt Branickiego do Włocławka w gościnę prosił, gdzie już senatorowie i urzędnicy óń pytali. Trzeba było jechać.

Rzekł też jenerał któregoś wieczora:

— No, Jasiu! Sprzążże mi na rano piękną czwórkę. Do pana Kretkowskiego się wybieram.

Zbladł pan Jan i o mało wina nie przelał. Biło mu też to serce, biło!

A nazajutrz ruszył Branicki z Możdżeńskim kolosą starą, ale w cztery konie, którym grzywy wstęgami barwnymi pięknie ubrać kazał. Za kolosą dziesięciu hułanów. Sam Branicki we francuskim stroju z orderem św. Stanisława i kluczem szambelańskim wyszytym. Oficjera młodszego przodem do Kretkowa pchnął, żeby o sobie uprzedzić.

Pan Kretkowski na widok wstęg barwnych nachmurzył się mocno, ale przecież całym dworem przed stopniami Branickiego witał i do bawialni wiódł z wielką atencją.

Tu zaczął Branicki od razu piękną orację, jako to honor ma właśnie gospodarza o rączkę córy nadobnej dla przyjaciela swego prosić. Już miał o zacności obu rodów mówić i o szczęśliwym ich związku, aleć urwał mu pan Kretkowski zaraz:

— Nie będzie z tego nic, panie łowczy.

Żachnął się Branicki i aże poczerwieniał.

— Dlaczegoż to, mości panie?!

— Taki ten Zakrzewski panu przyjaciel, jako i mnie. Sługa to pański. Szlachcic-hołota.

— O przyjaźniach swoich sam najlepiej wiem,

panie Kretkowski — nadał się generał. — I nie taki znów ten pan Jan biedny, bo i tu swój Zakrzew ma, a i ode mnie na Podolu kilka folwarków.

Zaciął pan Kretkowski wargę i jeno głową całej sprawie przeczył. Wściekł się Branicki.

— Choć też mój klient o wiano zabronił pytać — gadał złośliwie — a przecież sam strzyrać ciekawości nie mogę. Powiat chyba waszmość pan za córką dajesz, czy jak?

— Nie takie u nas, na Kujawach, powiaty takie, jak gdzie indziej — rzecze Kretkowski sucho. — Nie będzie z tej mąki chleba, panie łowczy.

Wielką na to pokazał dygnitarz obrazę.

— Za chudy, widzę, jestem i ja pacholek, żeby instancje do mości pana wnosić. Ale są i wyżsi ode mnie bez miary, co o to samo proszą. Mam tu list od Najjaśniejszego Pana, który mi waszmość panu przeczytać kazał.

Rozwinął tedy generał pismo królewskie i powstał z wielką powagą. Powstali też za nim Mozdzeński i Kretkowski.

— „Cher ami! Wielce nas ucieszyłś swoim listem“... czytał Branicki. — Nie to! Zaraz!

„Uproś więc od nas JWP Kretkowskiego, żeby obiekcyj Imć panu Zakrzewskiemu nie czynił, bo młodzian to pryncypiów, jak piszesz, godnych, rodu zacnego i protekcji naszej może być pewien. Samego JWP Kretkowskiego mieliśmy zawsze w łasce, choć te czasy uprzykrzone nieraz i o przyjaciołach pamiętać nam nie dały. Dziś już przecie dartzymy go orderem św. Stanisława“...

Tu przerwał Branicki czytanie, order sobie z szyi zerwał i na panu Kretkowskim go zawiesił. Nie rzekł nikt słowa, jeno Mozdzeński stanął sztywno jak na paradzie. Poczzerwieniał pan Kretkowski jak róża.

Czytał Branicki dalej:

— „...a i starostwo przedeckie, o które prosi, trzymać dlań będziemy, aż do przyszłego Sejmu, o czym kancelaria obszerniej doń napisze“.

Spojrzał Branicki na pana Kretkowskiego, czyli zmiękł dosyć, i znowu czytał:

— „O swatach Twoich, zem to się paniom naszym w dyskrecji zawierzył, już całe miasto gada. Czekamy tedy JWP Kretkowskiego w Warszawie, gdzie wesele odbyć się musi“...

Ale pan Kretkowski zmiękł już na amen. Ręce

mu się trzęsły i osłabł tak, że sam pierwszy usiąść musiał. Rzekł przecie bardzo godnie:

— Przymusza mnie Najjaśniejszy Pan, a i pan łowczy, w wasze więc ręce córę moją jedyną oddaję. Nie masz w tej Rzeczypospolitej człeka, co by się takim instancjom mógł oprzeć.

Za czym na służbę o kielichy klasnął.

Zerwał się teraz Branicki z krzesel i krzyknął:

— To już chyba i Jasia wołać?!

— A gdzież pan Jan?

— Gdzieżby? Pod figurą na rozstaju o decyzję szczęśliwą się modli! Będzie tu za trzy pacierze!

I był. Może nawet prędeż.

Złączono tę parę w Warszawie na jesieni. Setnie wystąpił pan Kretkowski. Sam król-jegomość z godzinę na weselisku tańcował, a Komarzewski, szambelan, o zakład kosz wina szampańskiego jednym ciągiem wypił.

SŁUŻBA NIE DRUŻBA

Za stołem w kowalskim zajeździe siedział sobie pan marszałek Rymkiewicz. Nie był to, już cić, marszałek wielki koronny, ani nadworny, jeno zwyczajnie sługa księdza biskupa kujawskiego, który to dygnitarz *incognito* do króla właśnie ku Warszawie zdążył i wczora w tym to Kowalu nocować raczył. Wstał sobie teraz marszałek — jak zawsze — raniuteńko i o wolnej głowie z Żydem-gospodarzem się rachował.

Abramek gładził szpakowatą brodę, kłaniał się co razu i aż chlpał z uciechy, że tak znacznego pana ma honor gościć. Już chyba i samemu Miłosciwemu Panu, królowi Augustowi (niech sto lat panuje!) nie mógłby rad być więcej!

— Takie wielkie duchowne osobe! — mówił — Aj-aj-aj! Takie bogate osobe, takie świętobliwe osobe i takie na Abramka łaskawe!

Marszałkowi nie w smak szły one żydowskie zachwyty. Nigdy mu się to nie widziało, że biskup u Żydów stawał, miasto do dworów szlacheckich

po drodze zajeżdzać. Ale gadajże tu z biskupem! Książdz to nie stary jeszcze i dość fantazyjny: co by też sobie z kogo robił?! A po ludzku rzecz biorąc to i rację swoją ma, bo Żyda zapłaci się i kwita, a z takich u szlachty wizyt to jeno supliki, prekusje i kłopoty wielkie się rodzą. To tak! Ale przecież biskup z Żydem nie para! Rozumiał marszałek ku wiekowi się już mając, że dawniej lepiej bywało, że coraz gorzej ten świat idzie i że rozpusta na nim coraz większa.

Marszczył tedy nos wielki, a tabaki przedniej pełen, i karteluszek żydowski przed się na całą długość ręki odstawiwszy gębą jeno ruszał bez słowa, licząc pilnie. Rzekł wreszcie z wielkim spokojem, a ciągnął nieco z litewska:

— Znam cię, Abramek, dawno, a zawsześ taki sam złodziej. Skądżeś znów tego wina narachował?

Gospodarz zdziwił się bardzo.

— Wielmożny pan żartuje sobie z Abrama... Skąd wino?! — zaperzył się nagle. — Z moje piwnice. Dobre, mocne wino. Prawdziwe ryńskie.

— Ryńskie? A komużeś je dawał?

— Wiadomo komu. Panom dworzanom. Kazali sobie po pół garnca do poduszki ulać, a beczułkę

panu marszałkowi do skarbniczka wstawić. Na drogę. Niech idzie wielmożnemu panu na zdrowie!

Zastanowiła marszałka owa dworzan dla niego hojność, ale rzekł tylko:

— Gałgany. A piwo angielskie kto pił?

— Kto miał pić, jak nie pokojowiec i pachółków dwóch?

— Łotry. Spróbują w Warszawie korbacza, niechno dojedziem. A i tobie, Abramek, za owo do picia podmawianie warto by wsypać dobrze.

— Co ja ich potrzebuje podmawiać, panie marszałku? One się same podmawiają. I znowu na kimże Abram zarobić ma, jak nie na wielkich panach? Taki biskup, takie wielkie, bogate osobe, aj, aj!

Pan Rymkiewicz wydobył teraz z pludrów mieшек staromodny z moszny baraniej, za czym sękatymi paluchami pieniądze zeń z rozważą wydłubywał i na stół rzucał z brzękiem. Żyd nie zgarnął ich zaraz, jeno grzebał w nich ręką długo podsuwając je ku sobie i odsuwając znowu, jakoby właśnie talara dla marszałka chciał ostawić. Zmiarkował to marszałek dobrze. Toteż namarszczył

nosa bardzo i prędkim ruchem wszystkich pieniędzy ze stołu na ziemię strzepnął.

— Jeszczem ja nie dziad, ani hołota, żebym od Żydów prowizje bierał — mruknął.

Ale bez złości to uczynił, bo wiedział, że niejednen dziś marszałek i talarkiem marnym nie wzgardzi, byle na pańską krzywdę. Westchnął pan Rymkiewicz. Cóż? Psowa się ten świat coraz bardziej i rozpusta na nim coraz większa. Nie gniewał się na Abramka, nie! Skoro Żyd pieniądze po izbie wybierawszy paczkę tabaki położył przed nim na stole z nieśmiałością wielką, wziął ją do rąk łaskawie.

— Lewandowa to?

— Lewandowa, panie marszałku. I na dworze lepszej nie zażywają.

— Ano.

— Pejsachówki też każę wielmożnemu panu ułać...

— Ulej, Abramku, ulej, jeno niedużo... I kawę dawaj prędko!

Nie zdążył jeszcze kawy marszałkowi nalać, jak rozległ się klekot podków na brukowanym podwórku i srogie klątwy dały się pod oknami sły-

szuć. Silnie bardzo ktoś kogoś wyklinał. Abram w dyrdy się rzucił ten rejwach uciszać, ale już otwarły się drzwi do izby i stanął w nich mąż w kwiecie wieku, w stroju polskim, wysoki a prosty jak świeca. Oblicze miał przystojne, choć zmizerowane nieco i gniewne po tych klątwach.

— Czołem! — rzekł.

— Czołem, czołem... Jeno hukasz waszmość mocno, a tu persony godne śpią jeszcze, boć to i ranek wczesny.

— Co mi tam persony! Samem persona godna i waści się z mojego hukania tłumaczył nie będę!

— Nic mi też po tym — wzruszył ramionami marszałek. — Jedno rzec muszę, a to, zem waszmości nie „waść“, jeno marszałek dworu księdza biskupa kujawskiego.

— Pan Rymkiewicz?!

Zdziwił się marszałek.

— A skądże mnie waszmość znasz?

— Ba! Sam od pacholęcia dworską służbą chodzę, a o panu Rymkiewiczu bym nie słyszał? Toć każdy wie, że jak Rzeczpospolita długa i szeroka, zacniejszego marszałka w niej nie znajdzie!

Pan Rymkiewicz chrząknął na tę deklarację,

która, widać było, że z serca szła. „Grzeczny jakowyś człek“ — pomyślał. Wyjął też zaraz tabakierę szyldkretową, piękną, ze złotymi skówkami, za czym strzelili obaj z nosów, jak z armat.

— Z kimże też mam honor? — pytał marszałek.

— Marcin Żbikowski jestem, do dziś ranka pana brzeskiego dworzanin.

— To dziś już nie?

— A nie. Dzisiajem mu właśnie zdezerterował.

Nie pytał marszałek obcesem o nic, jeno przyrzwał się panu Żbikowskiemu z uwagą. Ten widział się jakoby po dobrym pijaństwie. Do kawy zaproszony, łykał ją chciwie, aż dopiero gdy gęsi pieczonej na zimno podjedli niezłe, nalał mu pan Rymkiewicz z apteczki podróżnej kordiału czarękę malutką.

— Gol, waszmość, boś, widzę, po przepiciu, a to czyste leki, nie gorzałka.

— Brr! — otrząsnął się dworzanin. — Chyba nie wydołę, panie marszałku!

Wydołał przecie pan Żbikowski — wcale mu nawet gładko poszło. Zaraz też barwa wróciła mu na lica, a język świerzbieć począł w gębie do gadania. Marszałek ekscytował go chytrze.

— Takeście to wczoraj tego pili?

— Oj, nie tyle pili, nie tyle, jeno mnie, nieborakowi, pić kazali na mój wstyd i nieszczęście — żalił się pan Żbikowski gorzko. — Krzywda mi się dzieje, panie marszałku! Było tak. Służę ja panu brzeskiemu rok przeszło i potrafiłem go ukontentować. Nie miał to być ze mnie kontent? Prezencję mam piękną, szablę dobrą, ochędoźnie koło siebie chodzę jak żaden, manier mnie nie uczyć, wierność też od maleńkości w sercu chowam... Ostatniej jesieni pszenicę szyprowałem do Gdańska, to mi kasztelan po powrocie ten pektoralik srebrny dał z uciechy i zasługi podniósł. Była też na tym dworze panna Bronisława jedna, panienka respektowa, do którejem cholewki smalił. Dobrze mi się działo. Ale cóż? Na Gody przynieśli diabli siostrzenicę samej pani, Mokrzycką, wdowę: tej od razu w oko wpadłem, nieszczęsny! Czepiła się właśnie jak rzep psiego ogona. Ja w ogród — ona za mną; ja na pokoje — baba tuż!

— Także to waszmości przesładowała! — zaśmiał się marszałek. — Stara?

— Żeby stara, to nie. Młoda. Trzy lata z nieboszczykiem żyła.

— Szpetna bardzo?

— Na licach gładka raczej. Tyle, że jedno ramię nieco się wyższe widzi.

— Biedna?

— I to nie. Swoją wieś z folwarkiem ma, a i po mężu dożywocie.

— Cóż? U wdowy chleb gotowy...

— Jeno nie każdemu zdrowy! — zachnął się pan Żbikowski. — Mnie taki chleb bodzie.

— Ano — zgodził się marszałek. — Choć krzywdy waszmościnej w tym nijakiej nie widzę.

— Bom i powieści swojej nie skończył, panie marszałku. To było na Gody. Samą grzecznością i udawaniem wtedy się wykpiłem — pojechała. „Baba z wozu, koniom lżej“ — myślę. Aż tu na Wielkanoc — znowu jest! I znowu do mnie, ale już na ostre! Pannę Bronisławę intrygami wyszczuła zaraz, dusery mi baje, a po miesiącu cały dwór na mnie nasadziła. Już i kasztelanowa dla mnie jak miód, już i kasztelan łaskawy bardzo. Suknie kazała sobie szyc takie same, jak panny Bronisławy, i obiega mnie jak chorego. W końcu braci sprowadziła dwóch, że to i imieniny pańskie podeszły. Wczora właśnie. Weseliliśmy się, jak

przystało, choć bez ekscesów żadnych. Dopiero po wieczery, żem to tańcami dyrygował, kazał mi pić kasztelan puchar rodzicielski jeszcze, ogromny, co weń z garniec węgry wchodzi. Wypraszałem się, jakom umiał — ale gdzie! Cały dwór kołem mnie otoczył (bo zmówiły się, juchy, wi-dać) i krzyczą: „Pij, panie Marcinie! Pij, jeśliś chłop!“ Cóż? W ambit mnie wbili — wypilem. Zamroczyło mnie też zaraz, że to i gorzałki, zdrajcy, doleli pewno. Niewiele już więcej pomnę, jenó żem chwile przy pani Mokrzyckiej siedział, która w takiej samiusieńkiej sukni była, jako i panna Bronisława dawniej. Tu mi się pomyliło we łbie z kre-tesem, która jest Mokrzycka, a która Bronisława — i z afektem dozgonnym wdowiem się oświadczył. Winszowali nam zaraz gorąco i dolewać mnie chcieli jeszcze, ale żem już na oczy patrzeć nie mógł, do stancji zawieźć musieli. Takie to były zaręczyny!

— Ano zażyli waszmości, że nie trza lepiej — rzekł marszałek. — Ostra też ta imość. I taka już waszmości niemiła?

— Miła-niemiła, a przez kasztelanowy puchar żenił się nie będę! Od małości nicem z własnej

ochoty nie czynił, jeno wszystko po służbie — to teraz i żenić się po służbie mam? Niedoczekanie! Już mi te służby w gardle stoją!

— Także to waszmości na nich nie szło?

— Oj, nie szło, nie, panie marszałku — skarżył się pan Żbikowski jak dziecko. — Szesnastolatkiem na pierwszą służbę mnie dali, jak mi rodzice oboje (świeć im, Panie!) w jednym roku pomarli. Tom na tej służbie przez trzy lata pod srogim marszałkiem nic prócz razów i łez gorzkich nie oglądał. A tu mi szwagier majątek zabrał za parę tysięcy spłaty. Ano — myślę — sieroca moja dola i z siostrą rodzoną prawował się nie będę. Z drugiej zaś strony patrząc (tu napuszył się pan Żbikowski i wąsa podkręcił) prezencję mam piękną, szablę dobrą, ochędzożny jestem jak żaden, to i tak nie zginę! Jakoż zaraz pan czerski wziął mnie do siebie na dworzanina. Był ten kasztelan w wielkich kłopotach i o moim groszu się zwiędziawszy całą sumę bez kwitu na dobre słowo mi zagarnął. Pięć lat zwrotu się dopraszałem, ale gdzie! jak w wodę wpadło. U wojewody sandomierskiego takie znów było skąpstwo paskudne, że jak misę na stół dali, to jeden przez drugiego łapami gorące mięsivo

chwycił, żeby pustym brzuchem po obiedzie nie grać. Panu Flemingowi służywałem, to ten w swoich Niemcach jeno się kochał, a nas, Polaków, do sejmików i burd wszelkich używał, czego niejedną pamiątkę pod żupanem chowam. U pana rawskiego byłem jeszcze, u wojewody lubelskiego i u pana brzeskiego do dziś. Brali mnie wszyscy chętnie, boć i jakżeż: prezencję mam piękną, szablę dobrą, maniery dworskie znam jak żaden... Tyle że mi z tego nic.

Ustał wreszcie pan Żbikowski i przymilkł. „Prezencję piękną to ty, braciszku, masz“ — myślał patrząc nań marszałek — „jeno we łbie ciasno. Pocziwyś, widzę, z kośćcami. Ano, chyba żeby cię mój biskup wziął. Może ci się duchowna służba lepiej od świeckiej uda“...

— Cóż teraz waszmość robić myślisz?

— Uciekać od tego ożenku jak najrychlej. Żeby mi pachół, szelma, konia nie zakuł, już by mnie tu nie było. W swoje strony jadę. Odłożyło się trochę grosza, to dzierzawami pojedę.

Spodobała się marszałkowi ta przemyślność, jako że sam był Litwin-kutwa. Już miał pana Żbikowskiego chwalić, kiedy znowu zagrzmiął pod ok-

nami tętent i zaraz dwu szlachty do izby wpadło. Niewielcy byli obaj, młodzi, zaciętrzewieni okrutnie, a podobni do siebie kubek w kubek. Pani Mokrzyckiej bracia.

— Tuś nam, psiaparo!! — wołali do pana Żbikowskiego od proga. — U Żyda się przed nami kryjesz?! Wychodź, wasze, bo ci to na sucho ująć nie może! Wychodź!

Wstał pan Żbikowski i podparł się w bok dłonią.

— Czegóż to? — rzekł. — Jam się waściów nie czepiał.

— Nie nas, jeno spódnicy! Tchorzysz, gaszku?! Rozumiałeś, że nikt się za panią siostrą nie ujmie? Chlejesz, służko, jak szewc, afronty zacnym paniom czynisz, a do szabli to cię nie ma?! Pogonią trza cię brać, szaraczku, hołoto?! Wychodź!!

Hałasowali dobrze, ale ich już marszałek nie próbował ściszać, bo strasznie byli rozżarci. „Ano, nie bardzo się dziś mój biskup prześpi!“ — westchnął. Widział też, że pan Żbikowski na owe wyzwiska poczerwieniał nagle jak rak i szablisko czarne po rękowości jął głąskać.

— Służka! Hołota! — mruczał przez zęby. —

Już ja wam, psiekrwie, te łby karmazynowe juszka podleję!

Za czym ruszyli hurmą na podwórze. Marszałek za nimi z ciekawości. Rozdziali się tam do koszul w milczeniu, dopiero spytał pan Żbikowski z szyderstwem i złością wielką:

— Razem mam was, kurduple, znaczyć, czyli kolejką?!

Nie mogli teraz inaczej stawać, jak każdy z osobna. Ano, dostał pierwszy przez łeb po kilku złożeniach, że o ziem jak worek grzmotnął, nawet „Jezu!“ krzyknąć nie zdoławszy. Jak kłonicą go pan Żbikowski z góry nakrył: żeby nie czapczyisko dobrze watomane, byłoby już po nim. A i z drugim niewiele się ceckał, jeno poprzez ramię ciachnąwszy, od razu władzy w rękę zbawił. Nie trwała ta bitka i pacierza.

A już całe podwórze zaroilo się od luda, bo i służba biskupia półodziana i czeladź wszystka na hałas wyległa. Ci poderwali rannych i do izby nieśli. Abramek rękami machał, gwałtu wrzeszczał i brodę darł z frasunku.

Pan Żbikowski na swoim miejscu za stołem siadł, a łeb na obu dłoniach wsparł ponuro. Nie

bardzo był, widać, rad z wiktorii. Wzdychał ciężko. Dopiero jak cyrulik swoje zrobił, podszedł doń marszałek i rzekł niegłośno:

— Nie trap się, waszmość, po próznicy. Nic im nie będzie. A i oni to na ciebie leźli, nie ty na nich.

Westchnął pan Żbikowski znowu.

— Dzięki za pociechę, panie marszałku — mówił. — Ale znaczni to ludzie, koligacje mają piękne i swojego nie darują. Po grodach mnie będą włóczyć, po sądach. Już ja przez tę panią Mokrzycką spokojnego żywota nie zaznam. Do klasztoru mi chyba iść, za kratą wstyd ten cały schować.

Ledwie wspomniał pan Marcin, nieszczęsny, imię pani Mokrzyckiej, a już tu była sama, we własnej personie. Jakby ją czarami zwołał. Wleciała na rynek kariolka w cztery konie i halt! przed zajazdem. Silnie musieli wrywać, bo szkapom piana strzepami kapiała z pysków. Dwa słowa z Abramkiem przegadawszy wpadła pani Mokrzycka w izbę z furkotem sukien i niby to na pana Żbikowskiego nie patrząc (który poderwał się z ławy, jakby go kto za kołnierz chwycił),

rzuciła się ku braciom z wielkim krzykiem. Dopieroż ją ich po gębusi całować a głaskać, tak przecie liczka własne do publiki wystawiając, żeby ich gładkość dobrze ocenić mogli. Gładka też była dosyć, a rezolutna nad wszelki wyraz. Widząc już dobrze, że braciom nic się nie stało, że jeno osłabli i chmurni na ławie siedzą, krzyczała przecie cały czas. Z górnej wzięła nuty!

— Grzmot baba! — mruknął marszałek. — Przyszła na cię, panie Marcinie, kreska. Taka, jak zechce, to i korony dostanie, nie chłopą!

Ona zasię obie białe ręce przed się wyciągnawszy, że wszyscy pierścienie bogate musieli oglądać, zawodziła teraz ostrym głosem:

— Ha, bracia mili! To już i was ten mój zdrajca skrzywdził niewinnie! Nie dosyć mu było czci niewieściej, krew jeszcze waszą braterską przelać musiał! Jak srogi lew na nas się rozżarł! Opieki mi waszej, bracia, ujął, hańbą się moją pasie, z całego rodu naszego szydzi! Komuż się mam dzisiaj, nieboga, uzalić, któż na łzy moje sieroce wejrzy! Samam teraz na świecie, nieobronna, bez męskiej dłoni, bez rady, bez pomocy! O doloż moja wdowia, dolo nieszczęśliwa!

Płakała niby to w głos, a raz w raz spoza chusteczki ku panu Marcinowi oczyma strzygła. Ale nikt tego nie dojrzał, prócz marszałka. Wszyscy w izbie rozmiękli od niewieściego szlochu na papkę, nastroszyli się przeciw panu Żbikowskiemu i spojerali nań srogo. Każdy tam mąż i młodzian każdy gotów był tej wdowy skrzywdzonej i niešťczęsnej bronić, choćby i łba przy tym nadstawić przyszło. Aliści pan Marcin nie dbał o tę gotowość, bo z nim samym dziwne się działy rzeczy. Stał ze spuszczoną głową, a żałość targała mu sercem i z nagła okropnym zbójem sam się sobie widział. Bo i jakże? Spiał się, damie się oświadczył, uciekł i braci jej porąbał! I od czego uciekał, od czego? Toć gładka w tym swoim gniewie jak żadna. Nawet mu się teraz to ramię wcale nie wyduje wyższe! Gdzie wyższe?! Jeszcze go pan Rymkiewicz w bok trącił.

— Nie dasz rady, panie Marcinie! — szeptał grubo. — Pieprzu nie przetrze, baby nie przeprze! Poddaj się waszmość!

Ale już panu Żbikowskiemu nie trza było tej zachęty. Łba wznioł, na środek izby wystąpił,

skłonił się wdowie nisko, z ręką na sercu złożoną, na jedno kolano przypadł dwornie.

— A toć już, pani miła — gadał ze łzami — ocząt sobie jasnych przeze mnie nie wyplakuj! Służyć ci pragnę do grobu, aby mnie zdrajcą nie zwij i rączkę swoją daj łaskawie!

Tak oto ich ksiądz biskup kujawski zastał. Kiepsko się biskupowi spało tego ranka. Od świtu kłatwy, hałasy, a teraz i babskie krzyki. Wyszedł tedy z sypialni w pudermantlu, ledwie ufryzowany, ciekaw i zły trochę. Za nim kamerdyner-Francuz łba zza drzwi wychylił też z wielkiej ciekawości.

Roześmiał się biskup głośno widząc ową pana Marcinową pani Mokrzyckiej adorację.

— A cóż ten kawaler tak się do pięknej pani modli? — żartował. — Nie wstawaj, waszmość, nie wstawaj! Niechże się tym widokiem wdzięcznym nacieszę!

Ale już wszyscy porwali się na równe nogi, a marszałek chwilę biskupowi do ucha szeptał. Śmiał się biskup, aż mu się harbajtel trząsał na plecach.

— Zuch, widzę, z waszmości! — rzekł do pana

Marcina. — To już i zgodę swojej sylfidy masz chyba?

Pani Mokrzycka spuściła na to oczy, jak pannieka, i usta sznurując pisnęła skromnie:

— Jeśli panowie bracia zezwolą...

Za czym na braci spojrzała bardzo ostro. Pan Żbikowski kłaniał im się teraz kolejką, jako ich wprzódzi rąbał. Aż któryś z bólu stęknąwszy mruknął za obydwoh:

— Jako pani siostry wola!

— Już widzę — skończył biskup — że mi wam dzisiaj dyspensę a i ślub dać przyjdzie. Czekaście też mnie w kościele, na modlitwie.

I poszedł się ubierać.

Szedł za nim kamerdyner-Francuz i ramionami wzruszał raz po raz. Słyszał oto krzyki wielkie, widział porąbanych ludzi, jednego przed damą na klęczkach, patrzył na swojego pana wesołość, a nie rozumiał z tego nic a nic. Tedy ramionami tylko wzruszał, bo nic właśnie nie rozumiejąc gardził tą Sarmacją okropnie.

WIGILIA WOJEWODY

WIGILIA WOJEWODY

Non possum te absolvere, fili.
Wojewoda, co już był ku przyjęciu absolucji ze stękaniem na jedno kolano przypadł, mruknął na to z dołu, uszom własnym nie wierząc:

— He?

Księżyna młodziutki, w zakonnej sukience, powtórzył przecie, lubo i z wielkim dusznym uciśnieniem:

— *Non possum te absolvere, fili...*

— Jakże to? Co gadasz, księżę!

— *Non possum...*

Filius zerwał się na to *dictum*, że w kościach trzasło, szcerwieniał we chwilce, zatrząsł się, niby w wielkiej chorobie, i jął tupać nogami w podłogę. Zatkalo go, jako że był raptus. Ryknął przecie:

— A hultaj! Z oczu precz!

Księżyna zginął we drzwiach, jakby go wiatrem wywiał.

Sam zostawszy wojewoda jął biegać po komnacie, właśnie jako ten dziki zwierz w klatce. Wąsa szarpał, pasa na brzuszysku poprawiał raz wraz, po boku się za szabliskiem macał. Bo i jakże to? Żeby jego, Świdzińskiego, wojewodę, senatora Rzeczypospolitej, taki despekt! Absolucji nie dostał, on, wojewoda! jakoby jaki żak, jak pauper! Absolucji nie dostał — i od kogoż to? Od prymasa może? od księcia biskupa krakowskiego może? od prałata jakiego choćby?! Nie. Od służki własnego, od kapelana, co był go sobie z Warszawy na szpakowaty łeb sprowadził, na swoje utrapienie! Od pijarzyny marnej, chłopczyczka, chudeusza-mizeroty, co mu na klasztor-nym wikcie brzuch do krzyżów przyrósł!

— A hultaj! — ryknął znowu.

Miesiąc tu ledwie siedzi, odgryza się, a tak już sobie poczyną! *Vir doctus*, uczony, jucha! Wszyscy owi pijarzy tacy! Nie darmo samego hermana wielkiego pijarzyna opętał! Od jezuitów gorsi, wiadomo! *Viri doctissimi!* Zęby na św. teologii zjedli, a rozumu za tynfa! Żeby choć wy-miarkował taki przecie, że on, wojewoda, spowia-dać się dziś nie musi. Żeć to nie Wielkanoc! Że

z radości własnej to czyni, ze zwyczaju swojego, dla Pańskiego Narodzenia tylko, dla Boskiego honoru! A tu ci pac! — jak w pysk dał! Niesłychana to rzecz, jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą! Nie może być, żeby na sucho uszło! Nie może to być!

— A hultaj!

Czując wojewoda, jako mu krew całą gębę zalała z wielkiej złości, zaalterował się przecie o zdrowie i leciutko zupana szarpnąwszy wraz połowę guzów na ziem strzepnął i szyję *oppressione liberavit*. Co uczyniwszy z rozmysłem już ujął ze stolika pucharek pusty, a ze szkła ordynaryjnego (co dobrze wyrozumiał) i o ziem go *cum strepitu* cisnąwszy rozbił na kawałeczki. Za czym ze znaczną ulgą siadł w krzesła i czekał.

Jakoż *statim* pokazał się zza drzwi łeb łysy jak kolano i aże szerniały od starości. Wąsiska miał okropnie długie, w dół puszczone, a siwiuteńkie. I nie dziwota. Z ojcem wojewody jeszcze, ś. p. kasztelanem, szwedzką potęgę *sustinebant*, jako onego Carolusa *socii*, co go pod Pułtawą Moskwa paskudnie znieśli. Dzisiaj, choć i sam *possessionatus*, majordomował u wojewody.

Tedy, łeb tylko zza drzwi wytknąwszy pojrzał na onego rozbitego pucharka szczątki, ale nie rzekł nic. Dopiero go wojewoda sam przyzwał:

— A pójdz, Malesiu, bliżej... Coś ci powiem.

I zaraz nieco się z krzesel podniósłszy rzucił mu w sam czerwony nos właśnie:

— Absolucji mi nie dał. Ha!

Majordomus, jako był do słuchania schyłony, tak i pozostał. Łypał tylko na wojewodę ślepiami jak talary.

Rzekł wreszcie cicho:

— Nie dał? Pijarzyna? Śmiał to?

— Nie dał. Pijarzyna. Całą mi wigilię świętą zepsował!

— A toć bym go obuszkiem!

— Ale, obuszkiem... *Cum infallibili salutis iactura!*

— *Iactura*, nie *iactura*, a ja bym obuszkiem! Bo jakoż będzie?

Wojewoda ręce rozłożył. Pomilczeli. Dopiero majordomus rzecze:

— Ano, raz było tak. Ciągnęliśmy z kasztelanem do Szweda ku Wielkiej Polsce *armata assistentia*. W lędzkim klasztorze zaczęło woj-



sko brykać, że to i głód był wielki. Aż też, jak się do piwnic dobierać mieli, braciszek jeden krzyki wyprawiał wielkie, na afront wojskom czynił, a i godności nie *discernując*, samego kasztelana pludrem ozwał. Nie zrobił mu kasztelanic. Kazał go tylko sznurami do konia oklep przytroczyć i z podjazdami puszczać. *Triduum* z nami jeździł. Dłużej nie wydołał. Na łeb z konia zwisał, a i od sznurów popuchł. Może go też i nie karmili.

Wojewodzie aż grdyka tam i sam chodzić poczęła z wielkiego do tej opowieści smaku.

— Wyżył też?

— Braciszek ten? Czy wyżył? *Possibile*.

Pomilczeli znowu. Aż westchnął wojewoda, jak miechy:

— *Tempore belli* było... Nie te dziś czasy, Malesiu.

— Pewnie, że insze. Nie trzeba też klechy do podjezdka wiązać. Żeby tak na mnie, sanie bym mu zrychtował łubiane, konie do przeprzegu porozstawiał, ze dwu konnych dla respektu dodał, żeby w bok uskoczyć nie mógł, i pchnął *hoc modo* w Braclawskie nie bardzo czym przykryw-

szy. Byle nie uświerkł. Rozumiem też, żeby już na drugi dzień z drogi oną absolicję przysłał.

Wojewoda westchnął jeszcze ciężiej.

— Nie te czasy, Malesiu... I co braciszek, to nie ksiądz mszalny, i co cysters, to nie pijar. Pijarów tych na palcach byś się, wasze, doliczył wszystkich, a i estymę mają wielką. Na widoku są. Huczek byłby wśród szlachty. A i wśród senatorów. Nie wiesz to, waść, że u hetmana w Białymstoku sam pan Mokronowski tyle teraz *auctoritate* nie waży, co Konarski, pijar! A i Pan nasz Miłościwy takiej by rzeczy nie puścił. Nabozny to Pan, nie ojcu (świeć mu tam, Panie) Mocnemu para. Tak to. Głupio waść radzisz, panie rada. Że już o dusznym zbawieniu nie wspomnę.

Marszałkowi aże poczerwieniała pęga na łysinie, co ją był od pana Rembielińskiego na piotrkowskim trybunale dostał.

— A też jegomość dzisiaj o tym zbawieniu gędzisz, jak stara baba właśnie, a nie senator... *Videbitur in valle Josaphat*. Jeszcze tam Panu Bogu o jednego kleszkę nie wielki dyzhonor!

A zła była rada, znajdzie się insza. Wysłać pijara do Warszawy, a ojca Krescentego wrócić.

A i wojewoda porwał się z krzesła.

— Kogo wrócić?

— Ano ojca Krescentego, rzekłem. Dobry ksiądz. *Illicite* w klasztorze siedzi.

— *Illicite!* Dziw mi, że waść ciągle za tą starą kufą instancje wnosisz. Chyba, że już tego mojego wińska stągwiemi nie masz z kim doić!

— Wiadomo, że bernardyn i żołnierz nie panielki i naparstkiem nie piją. A jegomościm ojciec, ś. p. kasztelan, wina mi nie żałował, jako i ja krwie dla niego. Rozumiem też, że ojciec Krescenty nie o wino w klasztorze siedzi, jeno o ten jegomościm miód, o dziewczkę — Paraskę właśnie...

Z wojewody ledwie krew nie trysła.

— A stulisz, wasze, ten paskudny pysk!

— Pewno, że gębusi gładkiej nie mam, bom i nie dziewczka-Paraska. A nie o co insze na ojca Krescentego gniewy, jeno że ciągiem ją jegomości wymawiał.

— A stulże pysk, bo ci go zawrę, dziadu!

— Nie mnie dziś go zawarli, jeno jegomości,

a o tę Paraskę pewno. Bo i nie senatorska to rzecz z chłopką się parać...

— A zła krew! A wywłoka stara!

Widząc majordomus, że wojewoda jeno okiem po komnacie wodzi szukając, czym by weń cisnąć, rejterował się ku drzwiom zwolna i z ostatnim słowem je za sobą zawarł. Za czym ucho do zamku schylił i słuchał. Nic. Samo jeno sapanie. „Ano, pucharek stłukł, nie ma co bić więcej“ — pomyślał odchodząc.

Wojewoda zaś znowu w krzesła siadłszy więcej z udręki sapał, niżli z gniewu. Szczeka stary jak pies, ale i jako pies wierny i na rękach go, wojewodę, nosił. Rozumiał, widać, że go tą Paraską do żywego dojmie. Głupi! Tyle wojewoda o tę Paraskę dba, co o latośne śniegi. Do krów dziewczkę przegnał i już się ku innym ma. Cóż to, nie wdowy jest? nie chłop? Sam *medicus* z racji krwistej konstytucji nie raz radził... A i pijarowi nie o Paraskę idzie. Oj, nie! I Krescenty (opój!) o dziewczki jeno dyscypliną się okładać kazał, jako nie *mens* tu grzeszy, jeno ciało mdłe. Nie o Paraskę pijarowi idzie. Oj, nie! Wyrozumiał to sobie dobrze...

Westchnął wojewoda.

O Laski mu idzie. Ot co! O Zbyszewskiego. O *causam*, co był ją wojewoda w trybunale *illicite* przeparał. *Illicite*, bo *illicite*! Toć i ta plika papierzysków, co był w niej wojewoda Zbyszewskich dłużny skrypt znalazł, własną ś. p. ojca, kasztelana, ręką znaczoną była: „Do spalenia“. Musi i spłacili naprawdę, jako to i dzisiejszy Zbyszewski przed trybunałem chciał zaprzysiąc, tylko go nie dopuścili... Ale przecz wszystko na afront czynił? Przecz *nullo modo* akkomodować się wojewodzie nie chciał? Toć wszystka hołota drobniejsza swoje przedała, a on jeden nie mógł? One Laski właśnie, folwarczek, co klinem pod samą wojewodzińską sulgustowską stodołę podłaził? Co mu całą dobrów figurę psowa? Jakiż to respons dał, gdy go wojewoda na traktaty do siebie inwitował? „Tylaż droga wojewodzie do mnie, co i mnie do niego“. Szlachetka, jucha! *Possessionatus* na dziesięciu włókach! Postronkiem zaprzęga, a witką pogania! Zbyszewski! Krewniak! Tym ci gorzej, że się dziad ze Zbyszewską zenił! Jeno estymę w powiecie rujnuje.

Znowu się wojewoda zaalterował.

Boć i jakże? Toć w tym Sulgustowie właśnie chce swoją pańską rezydencję fundować. Gdzież bo ma przyjąć godnie? Ktoż bo by chciał się doń w braclawskie *fatigare*? A choćby i w malinieckie klucze? Tu, w samych *visceribus Reipublicae*, w tym właśnie Sulgustowie, we trzy roki pałac zbuduje piękny, a z Lasków ogród wysztyftuje, niczym król arcychrześcijański. Dróżki się powycina równiutkie, fontannów, statuów różnych, galanterii kosztownych naustawia, ziół onych pachnących, drzewek zamorskich naposadza, że i sam król Miłościwy *hospitio* nie wzgardzi. Boć i czymże ludzi niewolić, jak nie papką? A na dalsze rzeczy się zapatrując, komuż to ludzi niewolić bardziej *ne cesse videtur*, niżli im właśnie, Świdzińskim? Prawda, że wojewoda on — ale braclawski, s. p. ojciec: kasztelan — ale drążkowy. Jakoż tu bez pałacu o Lubomirską czy Potocką dla syna tentować, a choćby i dla siebie? Nie od dziś nadzieją się pasie na większą rodu ilustrację. I taki Zbyszewski miałby mu w tych *plantach* kontrować. Niedoczekanie! Jego Laski i będą jego! Tak mu Boże...

Tu wojewoda przysięgi swej nie kończąc w ję-

zyk się w samą porę ugryzł. Za czym rozsierdził się jeszcze bardziej. Wraz poczuł, że but go ciśnie. Tedy kozaczka wezwawszy, gdy tamten w strachu w odcisk go uraził buty mu ściągając, kopnął go wojewoda w nos leciutko, że się krwią zaraz i łzami na kosztowny kobierzec zalał. Tedy słusznie mu za oną szkodę dziesięć plag odliczyć nakazawszy, uspokoił się znacznie i na Malewskiego klasnął trzy razy.

— Śniadanie duchem! I syna z *praeceptorem* mi wołać!

Marszałek zły, jako ta gradowa chmura właśnie, kłaniał się *iterum atque iterum* z unizonością wielką.

— Kapelana jaśnie wielmożny pan wojewoda też rozkaże? — pytał kąśliwie.

Nie chciał się wojewoda w dalsze kontrowersje z marszałkiem wdawać, więc jeno guzy pozbierać (siedem!), a pijarowi w kredensie nakryć kazał. Za czym, mało wiele pomieszkawszy do stołu się udał.

Czekał już nań tam synaczek jedyny z *labusiem* - Francuzem, który go w mowie francuskiej i w kunsztach wszelkich edukował. Urosło rodzi-

cielskie serce, gdy się syn wojewodzie do rąk chylił. Bo też na schwał był pachoł, w szesnastu właśnie rokach, we wzroście słuszny, w barach tęgi, a na gębie jak róża. „Świdziński, krew z krwi, kość z kości. Lada chwila dziewczki psować pocznie, jeśli już nie psowa“ — myślał wojewoda z pychą, oburącz synowską głowę ściskając, a lekko, by mu zaś fryzury nie zrujnować, że to we francuskim był stroju.

Za czym, po modlitwie do stołu siadłszy, a polewkę piwną z czarnym chlebem pojadając wolniutko, rozpytywał wojewoda preceptora po łacinie z powagą o w naukach *progressus*. Wraz jął labuś słówka miodowe toczyć, miny krygować przeróżne, a łasić się i przymilać, zwłaszcza ową mowę francuską pod niebiosa wynosząc, jako że wiedział lizuch dobrze, że ją wojewoda w estymie ma, sam się jej nigdy wyuczyc nie mogąc. Wojewodzie na te *laudes* pochmuśniał jeno coraz bardziej, że to po ostatniej Francuzów z cesarskimi przeciw Fryderykusowi kampanii całą nację francuską, a swego preceptora osobliwie, w wielkim miał despekcie. Aż i wojewodzie w oczy ta synowska pochmuśność wpadła.

— A cóżes to waćpan jak po occie?

— A tego, że mi dobrodziej te tu łaszki wdziak kazał. Ani to w tym do konia, ani do szabli.

— A waćpanu jakichże szatek potrzeba?

— Wiadomo jakich. Wojskowych. Już mi i te lata, żeby na wojnę choćby okiem spojrzeć.

— Patrzcie no. Nicem nie wiedział, że waćpan taki w lecach podeszły. A do kogoż byś waćpan wojować szedł?

— Do pruskiego Fryderyka. Jako i pan Zarembeba.

Wojewoda aże jeść przestał.

— Boga się waćpan nie boisz? Toć to naszego Miłościwego Pana pierwszy *inimicus!*

— To Miłościwego Pana, a nie Rzeczpospolitej. A wszystkie nacje zwojował, lubo i kupą nań szły. Sasów bym z nim bił i Francuzów.

— Ano, widzę, że i z waćpana *statysta*. Jeno to sobie jeszcze zważ, że pana Zarembowe *dominium* w Wielkiej Polsce nad samą śląską granicą leży i zawsze je Fryderykus swoją potencją osłonić mocen; a nasze w zgoła inszym kącie, dokąd i pruska ręka nie sięgnie. To raz. *Secundo*: skoro pana Zarembę powieszą, to i niewielka rzecz, bo i pan niewielki; a o pana wojewodzica braclaw-

skiego większy byłby rumor. *Tertio*: jeszcze waćpanu okazji nie zbraknie i za własnym Panem się ująć, nie cudzego bronić — o to właśnie sąsiady nasi nienajgorzej dbają. Tak to. I cóż waćpan na to?

— A nic. Proszę jeno, że jakby dobrodziej najbliższego sąsiada wojować miał, to niechże i mnie ze sobą weźmie.

— Jakiego znów sąsiada?

— Zbyszewskiego. Bo już się zajazdu pilnuje. Wrota zaparł, służbie strzelbę rozdał, a i szlachty ma trochę.

— Waćpan skąd o tym wiesz?

— Nie jeżdżę to? A i ludzie mówią.

Wojewodzie jakby właśnie truciznę tym gadaniem zadał. Ale po sobie nie pokazał nic. Talerz jeno odsunął i rzecze:

— Głupiś, waćpan! Na takich sąsiadów ludzi się posyła, nie sam wojuje. I nosa waćpan w moje interesa nie pchaj, bo ci go przytnę.

Za czym milczeli już do ostatka. Już rodzica i *aspectus* synaczka drogiego nie cieszył, już i pojedzał mało-wiele, że to mu cała rańsza turbacja pod gardło podeszła. Jeno gdy już wstali, patrząc wo-

jewoda na misterne labusiowe komplimenta, myślał chmurnie: „Ten by ci absolucję dał i we chwile. Ale jakóż mi się takiemu spowiadać? Nie przystoi. Tamten hultaj zuchwały, ale kapłan godny. Toć i Malewski nic mu nie przymówi, choć gęba jak cholewa. Nawet się do białogłów nie bierze, a dobrze go rozpiera, musi, bo młodzik...“

Tu zleął wojewoda, jako to po jadł i *afflictus* będący, a wraz i zasnął.

Parę ledwie pacierzy wyspał, aż i ocknął się, jakby go kto za szatki pociągnął nagle. Siadł wojewoda na łożu rzeński, a dobrej już myśli. Poruszyło się w nim serce i zaraz cała żółć owa precz poszła. „Cóżem to medytował tyle? — sam się sobie dziwował — cóż mi z medytacji onych? *Peccavi* i kara Boska nade mną. Toć bez absolucji przy wigilii w grzechach nie ostaną, jak szoldra kalwin jaki, czy luter. Tociem z dobra woli, sam, nie przymuszony, owych wigilijnych spowiedziów ślub uczynił, z uciechy wielkiej, gdy mi był synaczek na świat przyszedł. Mamże to one słowo dane *neglegere*? Nie może to być! Chcesz, Panie, mojego poniżenia, naści! Chcesz mojej godności na despekt czynić — naści, Panie Jezu, despektuj! Jesz-

cze bym za Ciebie i głowę pod topór dał, chciałem senator! Użyj sobie, jako chcesz. Twoja wola, Pani, nie moja! Tak to. A już jak ma być, *magnanime* niech będzie, po senatorsku! Tak to!“

Zaraz też z łoża skoczył, wesół, i na Malewskiego klaskać począł.

— Kontusz mi, waść, paradny podaj, guzy brylantowe, szablę, co od Miłościwego Pana, i wszystko resztę. Syn żeby też gotów był w pacierz, a i waść przybierz się godnie. Kolasę w sześć koni zaprząć duchem, kozaków na przodku trzech i na zadzie pięciu. Przy szablach jeno. Dla parady. Do Lasków jedziem, pana Zbyszewskiego w gości prosić.

Marszałek jeno łbem parę razy pokręcił, na znak, że niczemu się już nie dziwuje.

— Jako jaśnie wielmożnego pana wola — rzekł. — Rozumiem jeno, że Zbyszewski już od dawna na oną wizytę ze strzelbą czeka. Żeby nie-szczęścia nie było.

— Nie waści w tym głowa! Nie *negować*, jeno robić, com kazał. A duchem, żeby za dnia było!

— I pewno, że głowa nie moja, jeno jaśnie wielmożnego pana. Bo ja nie pojedę.

Rozgniewał się wojewoda na tę deklarację mocno.

— A zła krew! — wrzasnął. — Igrzysko sobie waść ze mnie czynisz, że cię jako ojca szanuję! A toć, skorom już waści niemiły, jedźże, wasze, do kroćset, kury u syna sadzić, a nie neguj mi ciągle!

W marszałku aże serce stopniało na to estymy wspomnienie. Wraz się wojewodzie do kolan schylił i obu je rękami oblał.

— Nie odganiaj, jegomość, nie odganiaj, bo cię bardziej od syna miłuję. Jeno starość przekłeta... I zaraz do tego Zbyszewskiego jedziem, zaraz... Toć ja za jegomością i diabłu w gardło! A i zuchwała to rzecz z samą paradą prosto na strzelby jechać. Sam ś. p. kasztelan z uciechą na to z nieba patrzy...

Uściskał go wojewoda za głowę mocno i wraz odziewać się począł. Wesóło mu było, jakoby właśnie do ślubu się stroił. Jeszcze kozaczkowi, co ze strachem koło niego chodził, talara dał bitego i w rękę się łaskawie ucałować zezwolił.

— A masz tu, głupi, na maść po onych pląskach. Bolało, hę?

Za czym jechali. Wojewoda z synem w kolasie

poszóstnej, z hajdukami, kozacy z przodku i ze zadu, a marszałek wysforował się na sam przód na brycuszce, jako że mu niesporo już było na koń siadać. Dojechali *hoc modo* do samego całe tęgiego płotu ze szwedzkich jeszcze czasów i do zawartej bramy, na sto może kroków. Tu ich i okrzyknięto:

— Stój! Stój! Kto jedzie?!

Uniósł się marszałek w bryczce i huknął:

— Jaśnie wielmożny Świdziński, wojewoda braclawski! Bramę otwieraj!!

Wraz stała się za bramą cichość, za czym jakoweś szeptania. Zza płota wyjrzała wprzód strzelba, a za nią łeb chłopski, kudłaty. Przyjrzał się, strzelbę naładził i krzyknął:

— Zawracaj, bo strzelę.

Toż i strzelił, mało co mieszkając. Jeno się konie poprzestrachały. Marszałek zaś, co był już z bryki zezlazł, skurczył się w sobie, łeb schylił i wieku nie miarkując począł biec ku onej bramie, jako ta kula właśnie. Zanim dym opadł, już tam i był. A krzyknął z zadyszki srogo:

— Nie strzelaj, capie, bo cię wojewoda zgnoi!

A jest też tu kto urodzony, czy same chamy?! Wychodź, jeśli tchórzem nie śmierdzisz!!

Wraz pokazał się nad płotem młodzieńczyk, lat może szesnastu, o gębie z mrozu i afektu czerwonej jak ogień. Krócić miał w rękę nabitą.

— Jestem! — krzyknął. — A odejdz, waść, bo strzelam!

Na to zaśmiał się jeno marszałek, plackiem do bramy za słupem przypadłszy.

— Późno, synku! Trza było wcześniej strzelać. Starszych wołaj!

I znowu począł krzyzczeć głosem wielkim:

— Jaśnie wielmożny Świdziński, wojewoda braclawski! Do wielmożnego Zbyszewskiego w gości!! Bramę otwieraj!!

A już na huk onego strzału zagotowało się na podwórku jak w kotle. Drzwi ode dworu łupały raz po raz, o broń wołano, wielu naraz męza ku bramie biegło, „a co?!“ pytano, „a kto?!“ Komuś z gorącości sama wypaliła strzelba. Coraz to jakowys łeb podgolony na płocie się ukazywał a wraz i chował prędko, na kozaków pojrzawszy.

Marszałek zaś, o rwetes niedbały, wciąż jeno pokrzykiwał swoje:

— Jaśnie wielmożny Świdziński!! Do wielmożnego Zbyszewskiego w gości!! Bramę otwieraj!!

Aż i zakrzyknięto nań z góry:

— Cichaj, waść, bom nie głuchy! Ktoś zacz?!

Zamilkł marszałek samego Zbyszewskiego głos poznawszy.

— Małecki marszałek. Któż by? Jaśnie wojewoda ze synem w gości do waszmość pana jedzie.

— W gości? Patrzcie no!

— A w gości. Choć nas tu chamy jeszcze przed bramą kulą częstują.

— A cóż to jezdnych z wami tyle?

— Nie tyle, jeno kozaków dworskich ośmiu, jako że nie hetka-pętelka jedzie, jeno senator. A że w gości jedzie, więc kolasą poszóstną i bez strzelby. I dziw mi, że waszmość pan o to pytasz, sam mając luda pełen dwór.

Zaraz też ozwały się zza bramy głosy:

— A stul, dziadu, pysk! A waruj, wasze! Nie twoja to, sługo, rzecz!

Aż sam Zbyszewski huknął:

— Cichajcie, waszmościowie! Otwieraj bramę!

A i marszałek ręką na kozaków skinął:



— Ruszaj!

Wraz też wjazd odbył się wspaniały. Kozaków na przodku trzech, kolasa za nimi w szóstkę białą, w kity przepięknie strojną, na siwkach hajduków dwu, z węgierska na czerwono przybranych, na zadku znowu kozaków pięciu. Parada.

A już Zbyszewski na ganku bez czapki czekał, w koło zaś niego gromada niemała szlachty, zbrojna i w czapkach. Ci rozsunęli się we dwa rzędy, miejsce wojewodzie czyniąc.

Ten, pomału wysiadłszy, ani na nich pojrzeć raczył, jeno ku Zbyszewskiemu sunął godnie, a ukłonu wyczekawszy, sam czapy sobolowej uniósł i zaraz nią łeb przed mrozem nakrył znowu. Syn za nim wszystko jako i ojciec czynił.

Tu rzekł wojewoda:

— Skoroś waszmość pan na Sulgustów niełaskaw, kiedym go do siebie był prosił, umyśliłem ja tedy do niego w gości przybyć. Tuszę, że mnie waszmość pan przyjmiesz, jako to *tuam meamque dignitatem decet*.

Skłonił się pan Zbyszewski niżej, lubo i cale jeszcze hardo.

— Do komnat jaśnie wielmożnego pana proszę.

Ruszył tedy wojewoda przodem, za nim syn z gospodarzem, za nimi szlachta z Malewskim hurmą. Do bawialni wszedłszy skłonił się jeszcze wojewoda dwornie jakowejś podeszłej już białogłowie i czapkę na stół rzuciwszy spinką brylantową do góry czekał, aż się szlachta rozmieści. Skoro zaś wszystkie oczy w siebie utkwione widział, a i cichość nastąpiła wielka, tak rzecz swoją *explicit*:

— Dziw to waszmość panu pewnie, a i panom braciom (tu głową samą we wsze strony skłonił się z powagą), że oto *non invitatus et sine armis* między panami stoje. Aleć nie masz tego czasu i miejsca, gdzieby krzywdy naprawić *non deceat*. A krzywda się zaś tu stała ode mnie wielmożnemu Zbyszewskiemu, a i krewniakowi mojemu, przez *causam* oną, którą byłem o te Laski w trybunale wygrał. Jako że wczora właśnie, w rodzicielskim kantorku grzebiąc *documentum* spłaty długu znalazłem był. Dziś tedy, przy tej wigilii świętej, *coram* panów braci deklaruję, jako owego *processus eventum nihili habeo*, te Laski zaś za panowe Zbyszewskiego, nie moje.

W pana Zbyszewskiego właśnie jakby piorun strzelił. Chwilę wielki mrużył, jako przed słońcem, za czym do nóg wojewodzie padł z rykiem wielkim:

— Jaśnie wielmożny panie!... — gadał. — Dobrodzieju! Toć bardzo to ciężko ubogiemu prawić się przychodzi!

Już też bracia szlachta jeden za drugim becząc a i gardło drzeć począł:

— *Vivat Świdziński, senator!! Vivat wojewoda!* W górę go, bracia, w górę!!

Aż ich marszałek dopiero, sam *lacrimam* z wąsa strzepnąwszy, uśmierzać musiał:

— *Silentium*, panowie bracia, *silentium!* Jaśnie wielmożny gada!

Zaś wojewoda czapkę ze stołu wzięwszy w bok się nią podparł i rzecze:

— A to, że wszyscy panów braci z gospodarzem na wieczerzę wigilijną proszę. Jak kto stoi, byle bez oręża. Bo u mnie, w Sulgustowie, nie strzelają!

Za czym kłaniał się obecnym godnie, a za nim syn wszystko jako i ojciec czynił.

Wieczorem zaś absolicję otrzymawszy wojewoda z klęczek z pomocą księdza wstał i palcem pijarowi grożąc w te się doń odezwał słowa:

— A to księdzu powiem: komunikować się do Wielkiej Nocy nie będę. Dziś Boże Narodzenie — śliniaczków jeszcze Panu potrzeba. Zaczekam, aż podrośnie. Z dziećmi nie gadam!

Pijar na to *dictum* jeno oczy do nieba podniósł.

PAŃSKIE ŁZY

Ruszyli wreszcie z tej Warszawy ostatniego dnia kwietnia a. D. 1669.

Wyjeżdżał nie byle kto. Wyjeżdżał *Ioannes Casimirus rex*. Opuszczał stolicę, i panowanie, i kraj — *Serenissimus Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae etc. etc.* Co po naszymu: Najjaśniejszy Król polski, Wielki Książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, inflancki, smoleński, czernihowski i jaki jeszcze kto chce. Nie dość na tym. Jechał w świat — *Suecorum, Gothorum, Vandalarumque haereditarius rex*. Jechał Szwedów, Gotów i Wandalów dziedziczny pan. Który to tytuł w traktatach oliwskich przyznano mu dożywotnio.

I jechał w świat, na Zachód. Po dobrowolnej abdykacji.

Od samego początku nie bardzo dobrze szła mu ta jazda. Jeszcze rankiem w pałacu ogrodowym przyjął prędko zegnalne wizyty dygnitarzy, a po-

tem każdego, co się zgłosił, precz odprawiać kazał. Nikogo z tego narodu widzieć już nie chciał: nie miał w te łzy wiary. A do tego — ani wiedzieć, kto się zgłosić może? Nuż z jakim obligiem, o pieniądze? Zapłaciłby, zawsze chciał płacić, ale cóż, kiedy nie miał czym. Po prostu — nie miał. Nigdy nie miał, bo mu to królestwo zawsze grosza skąpiło jak kutwa. Chyłkiem tedy, przez ogród, udał się do Denhoffów i z nimi ostatni obiad spożył. Mocny Boże! Westchnienia tam jedli, nie potrawy, a popijali łzami! Kasia Denhoffowa płakała bardzo i z serca. To uważał.

Za czym po obiedzie siadł do kolasy podróżnej, i jechali. Siadł z nim przyjaciel Kos, starosta ostrołęcki, i Chrapowicki młody. Za nimi, w drugiej kolasie, ksiądz Otrębosz, spowiednik, *secretarius*, a i chudego mieszka pańskiego dzierżyciel. Zresztą służba, no i gwardii paruset ludzi, że to Majestat jedzie. Polski i szwedzki Król.

Zaraz też na Krakowskim Przedmieściu jęły się zza każdego węgła wysuwać karoce dygnitarские i z królewskim ciągiem się łączyć. Panowie Rada i z reszty senatorów co starsi. Należało Miłościwego Pana przeprowadzić, że to dwadzieścia lat

nacją rządził. Trza było mu to jeszcze zrobić. Dla samej choćby decencji, dla Boskiego Pomazania.

Aleć lepiej by mu było, gdyby owych ostentacji i honoru poniechali! Na miły Bóg — lepiej! Bo ledwie na skraju Przedmieścia wjechali między kiepskie dworki i chałupy, jał się z nich sypać na drogę ludek drobniejszy, lichota, i do Pańskiej kolasy się cisnąć. Niby to żegnać Pana wylegli, niby przy rozstaniu łzy leli, a każdy tylko swojej krwawicy płakał. Szewcy, krawcy, rzemieślnicy, służba stajenna, kuchty i kapela, bo był im dwór wieloletnich zasług nie opłacił. Nie dziw tedy, że gorzkie były nieco te łzy i gorzkie żegnania! Nie dziwił się i Jan Kazimierz. Wyprostował się tylko na siedzeniu, a muszka na wysuniętej brodzie jęła mu w górę i w dół biegać z wielkiej alteracji. Że to wstyd mu było i bolał nad tym ludkiem z serca, a poradzić nic nie mógł. Nawet ich do księdza Otrębosa nie odsyłał, bo nie było po co.

Dopieroż felczer jeden, stary sługa, którego znał dobrze, krzykiem wielkim w uszy Pańskie uderzył:

— Nie godzi się to, Miłościwy Panie, oj, nie godzi z krzywdą ludzką precz jechać! Zegarmi-

strzowi zapłacili, bo Niemiec, a mnie ani szeląga! A przeciem i na wojnach żołnierza opatrywał, a i przy dworze nie rok w śmierzających ranach grzebał! Jednegom to dworzana z paskudnej choroby uleczył?! Krzywdę moich dziatka ze sobą bierzesz, Miłościwy Panie!

Zasromał się *Rex Serenissimus* srodze i aże oblicze rękami przysłonił. Po czym wychylił się z kolasy do onego felczera:

— A toć zasług ci nie odmawiamy, człeczko pocziwy! Ale ze skóry sobie nie wytniemy na opłacenie wszystkich! Skąd brać? Żeby nam ta Rzeczpospolita opatrzenie dała, jak powinna, nikt by od nas ze łzami nie odchodził!

Chciał jeszcze Chrapowicki gwardią tego felczera imać, ale mu pan zabronił. Niechta!

Wstyd miotał nim srogi, a i gniew na owych dygnitarzy, co za nim w karocach jechali. Nie mógł to który na felczera palcem skinąć i zapłacić? Albo nie mogli to całego wyjazdu urządzić, jak należało? Żeby mu się lud do rąk po drodze nie czepiał? Aleć im co? Co dla nich Majestat, choćby i całej Rzeczypospolitej?! O siebie tylko dbają, a on nic już do rozdania nie ma. Przepro-

wadzić go wyjechali, pewnie! Boć nic to nie kosztuje! Żeby choć ostali już prędej!

Ostali też bardzo niedługo, zaraz poza stolicą. Widać, że naprawdę przewody te czynili dla samej decencji. A i deszczyk spadł ciepłutki jak to na wiosnę. Szkody się zlekli i w uprzęży paradnej, i w hajduczej liberii. Raz po raz jęła się karoca za karocą odrywać od ciągu i nazad ku miastu pomykać szybko. W parę pacierzy Pan sam ostał. Z przyjaciółmi tylko, z gwardią i ze służbą. A tu otwały się właśnie upusty niebieskie, huknął grom i runęła ulewa, jakby ktoś w górze beczi ogromne tulał i wodę z nich na ziem spuszczał.

Jechał Jan Kazimierz w milczeniu i nieweso. Wraz z wilgocią powietrza i wonią zielonej runi ozwała się w królu zadyszka, na którą od lat-lat cierpiał, i gęby zawrzeć nie dała ani na chwilkę, choć nie odzywał się do przyjaciół wcale. Dech to wychodził zeń z graniem, świstem i udręką wielką. A wraz przypomniała się i podagra. Jęło kręcić w nodze jakby świdrem i kasać jak pies. Niemłody bo był król, nie! Na szósty krzyżyk dobrze mu przewaliło, a i choróbska czepiały go się rade. Najgorzej ta przekłeta podagra! Po dwu godzinach

gwałtu krzyczał, choć król. Ledwie rady dali buta ściągnąć, bo noga spuchła już jak bania. W sukno ją owinęli ciepłe i na siedzeniu złożyli. Jęczał teraz jak małe dzieciątko i o byle co w złość wpadał. Dziesięciu ludzi pchnął z powrotem do Warszawy po medyka Brauna, co się był z wyjazdem zamieszkał. Kłął Niemca w żywy kamień i za łeb go z betów ściągnąć kazał. Na nocleg wynieść go musieli z kolasy na rękach i zaraz łoże słać wygodne. Dwa dni tam leżał, nim w dalszą drogę mógł ruszyć.

Nie dobrze się królowi ta podróż zaczęła. Ale na trzeci dzień wzeszło pogodne słońce, a z nim i lepsza nadzieja w serce. Zaraz i noga przestała rwać, i dało się jechać dalej. Toteż i król zaraz lepszy po sobie pokazał humor, jako że zawsze weselił się rad bardzo i lekkiego był ducha: byleby noga nie dokuczała, mieszek był nie nadto już pusty i majestat w jakim-takim zachowaniu. Jechał sobie tedy w ciepłe majowym gadając ze starostą Kosem, a jechał powolutku, bo i nie miał po co się śpieszyć. Jechał z tego swojego królestwa, którego się z dobrej woli wyrzekł, na Śląsk i Wiedeń, przez ziemie cesarskie, ku Francji, gdzie

mu Ludwik XIV w opactwach piękne opatrzenie dawał. Jechał tedy znowu duchowną suknię przywdziać. Nie bardzo mu się do tej sukni śpieszyło. A po prawdzie mówiąc to i bał się trochę, jak go tam, na Zachodzie, przyjmą. Został mu i po abdykacji ów podwójny tytuł królewski, ale rozumiał przecie, „żeć nic po tytule, kiedy pustka w szkatule“. Bał się trochę. Bał się, żeby i tam, na Zachodzie, nie sponiewierano w jego osobie wielkiej krwi Wazów, jako ta Rzeczpospolita czyniła długie lat dziesiątki. Na to był czuły. Na samą myśl krew oblewała jagody i prawicą ręką jeść rapiru głaskał.

Choć przy tym słońcu i ciepłku Bożym lepszej — jako się rzekło — był myśli. Żeby jeszcze więcej sobie serca dodać, przegadywał o tym i z powiernikiem Kosem. Pan starosta Kos, też już w wieku i dosyć grubaśny, niewielkiej był głowy mąż, ale niezmiennie dobrej nadziei. Przywykł od śmierci królowej zabawy z Panem dzielić i zmartwienia. Spodziewał się też z tego dla siebie jakiegoś profitu.

— Słuchaj, Kos — mówił Pan. — A jakże myślisz, że nas we Wrocławiu przyjmować będą?

Starosta przedmuchał wąsiska, jako zwykł był czynić, nim co odrzekł.

— Dobrze przyjmą — powiedział. — Z paradą. We dzwony uderzą, biskup przed nas wyjedzie... Jakbym to już widział. A toć, Miłościwy Panie, Najjaśniejszy Cesarz wujem się wam przychodzi! Od św. pamięci matki waszej, królowej Konstancji, urodzonej arcyksiężny.

— Prawda to! Prawda! — westchnął król. — Nie masz tych w Europie monarchów, z którymi byśmy jednej krwi nie byli.

— Też to mówię właśnie...

— Ale z innej strony — uważ Kos! któż by ubogiemu krewniakowi rad był? Cesarz jeszcze prędzej, że to i wuj, a i w wojsku cesarskim służyliśmy za młodu. Ale kuzyn Ludwik francuski dumny bardzo. Zaraz po abdykacji biskup de Bonzy całą estymę dla nas stracił, a i opat Courtois wymykał się nam jak liszka. Gadać już z nami o sprawach nie chcieli...

— Insza rzecz sprawy, insza znów gościna — rzecze starosta z powagą. — Francuski Ludwik wielkiego serca król i krwi królewskiej nie spostponuje. Będzie nam, Miłościwy Panie, w tej

Francji jak za piecem. Bogaty to, słyhać, kraj! Kłopotu, Panie, zbędziecie, pieniąż gotowy na stół wam sypać będą, sejm już do oczu nie skoczy, a i Francuzki ponoć grzeczne bardzo!

Wiedział stary wyga, czym najłacniej Panu do serca trafić. Nie rzekł *Ioannes Casimirus* nic, ale zaraz podciętego po kawalersku wąsika białą rączką poprawiał długo. Łasy bo był na słabą płeć jak kocur właśnie.

Tak to jechali. Od owego dżdżu, co ich z Warszawy przeprowadził, ustaliła się pogoda na podziw i dwie niedziele trzymała na sucho. Nawet i zimni majowi święci ogrzali się tego roku jak nigdy. Ano, zegnał kraj Pana słońkiem! Już ci Jan Kazimierz i dychał wolniej, i o darciu w nogach przepomniał na amen. Wesół był. Drogi podeschły pięknie, a wszędy, jak okiem rzucić, sady i ruń zielona a kwietna. Konie poparskiwały raz wraz, a żołnierz śpiewał za kolasą z własnej radości i Pańskiego nakazu, że to Pan Miłościwy kochał się w rycerstwie. Choć i nie śpiesząc dojeżdżali już przecie do Pińczowa, gdzie na ostatni przed Krakowem popas mieli stanąć. A w Krakowie same ich czekały uciechy, boć nie miał król

w tej Rzeczypospolitej stalszego przyjaciela nad księcia biskupa Trębickiego.

To też wesół był Jan Kazimierz tego dnia bardzo. Do obiadu musieli mu natoczyć dzban francuskiego, lekkiego wina, a gdy do kolasy siadali, znów gąsior złotego tokaju w nogi wstawić kazał. Aż się Braun, medyk, za łeb chwycił... Ale nic to! Czuł się Jan Kazimierz, jakby mu druga młodość w kości weszła. Chrapowickiego młodego do gwardii przegnał i, sam na sam z Kosem, pucharki srebrne w dłoni dzierżąc śmiali się jeden do drugiego, o białogłowach pogadując.

— Takeś mi to, waszmość, mości starosto, one Francuzki sławił, że mi dziw — mówił król. — Znałżeś też którą?

— Żebym, po prawdzie rzekłszy, którą znał, jako to w Piśmie stoi, to nie. Alem widywał przecie na dworze. Gładkie, szelmy, bardzo. Łaszą się jako kocice. Co tymi ślepkami na człeka spojrzy, to ażę mrowie po krzyżach chodzi! Choćby i pani marszałkowa koronna...

— Sobieska? Szczwane babsko jak liszka! Ho, ho!... Jednej chyba mojej nieboszcze para!

— Była też we fraucymerze jedna, za króla

Władysława jeszcze... Palce lizać! Młodziak, chucherko, nicpotem, w jedną garść się to zmieści, a też oczyskami waliła przecie w chłopca, jak z armat! Sam byłem młody, tom już pięść zaciśkał patrząc! Ale wyjechała prędko... Nawetem dziś i nazwiska przepomniał...

Król aż się na siedzeniu ruszył z ciekawości.

— Drobna taka? Cienka? Płowa?

— To, to!...

— Duvet! Wiem. Panna Duvet! Aleś się starosta wybrał z amatorami! Właśnie! Toć nikt inny, tylko ja sam *kurę* jej robiłem jako królewicz. Ledwie ognie ze mnie nie szły! Nie dziw, że waści w oko wpadła, kiedym ja z samych wzdychań sypiać nie mógł!

Starosta Kos przedmuchał wąsiska i do samego Pańskiego ucha się uniósł.

— Było też co?

— Nie było — westchnął król. — Nie było. Jużem na kolana stawał, jużem z nią na kraj świata chciał jechać... Ale się bratowa Ludwiczka postrzegła zaraz. Szast-prast i nie ma panny. Wyślą do Francji. A szkoda wielka...

— Pewnie, że szkoda — przyznał starosta. —

Chocia tego towaru wam, Miłościwy Panie, nie brakło. Z wszelkiej nacji... I królowa Ludwika, świeć jej Panie, nie ustrzegła. Jako ten kur Wasza Królewska Mość w koło niewiast chodziłeś. Taka Guldenstern, taka Schoenhof — jak łanie!

— Dawne dzieje! — machnął król ręką ze śmiechem. — Tyle waszmości powiem, że nie masz nad nasze Polki! Wszelka insza nacja bardziej mieszka patrzy jak serca. A Polce byle górnice gadać, wzdychać, a w niebo patrzeć, to i alikowa na oścież!

— Oj, prawda, prawda! Tociemy zawsze: jak mieszek pusty — to i do Polek! Nawet stanu nie *discernując*, nie!

Śmiali się w głos obaj i znów do pucharów zajrzeli. Już słońce szło ku zachodowi, już i Pińczów jak na dłoni się ukazywał, a oni gadali i gadali. Już w skok przeleciał Chrapowicki młody, jako to stanowniczy, nocleg Panu w mieście gotować. Minęły ich też wozy ładowne z kobiercami i wszelakim sprzętem, by zaś gospodę oporządzić na królewskie przyjęcie. Konie przy kolasie szarpnęły mocno, owies w bliskości czując, ale je właśnie woźnica wstrzymał i stępa puścił, aby tam-

tym czas na porządki zostawić. Jechali tedy noga za nogą, wolniutko, a przepijali niezgorzej, że to starosta Kos nie chciał ani kropli zacnego trunku służbie ostawić. Toteż pyski szczerwieniały mu bardzo, a oko jarzyło się złotym błyskiem jak karpiowi. Król mniej pił, tylko starościńskich facecji słuchał i śmiał się. Dobrze mu było.

Dopiero przy pierwszych domach ujrzeli znowu Chrapowickiego, jak ku nim w ulicy sadił. Zdarł konia przy kolasie, że tańczyć począł, a sam zmieszany był okrutnie.

— Miłościwy Panie! — mówił. — Szlachcic pewien gospodę zajął i nie ustępuje.

— Jakże nie ustępuje? Co waść gadasz?! — wrzasnął król.

A już wtrącił się i pan starosta Kos:

— I któż to? — pytał. — Pan jaki?

— Z mniejszych mi się widzi panów. Szlachcic zwyczajny. Choć czeladzi przy nim dużo...

— A mówiesz też, waszmość, kto jedzie?

— A mówiłem, że Miłościwy Pan. To rozsierzdził się tylko. „Nie ma dziś żadnego króla w tej Rzeczypospolitej“ — wrzeszczy. „Jeszcze nie po

elekcji! Takim ja dobry, jak i *Ioannes Casimirus!* Nie ustąpię!“.

Jan Kazimierz aż się ręką po kolanie trzasnął z gniewu, jako że *irritabilis* był bardzo.

— Głupiś asan! — rzekł Chrapowickiemu ostro. — Gwardię z porucznikiem bierz i wyrzuć błazna!

Zaraz też ruszyła mimo kolasy gwardia, ale już królowi cała wesołość odeszła. Ze złością resztkę wina na ziem chlusnął i pucharek na dno karocy cisnął. Zamilkł. Milczał też i pan starosta. Wiedział, że nie trzeba się Panu przeciwzić, jak zły, a i czasu nie było już na gadanie. Boć jechali teraz noga za nogą, do rynku przecie nie dalej było, jak kamień rzucić. A rozruch, widać, panował tam wielki. Tupot koński słyhać było, kwiki, pokrzykiwania, kłątwy i śmiech żołnierski. A nad wszystko wynosił się czyjś głos piskliwy, ostry i uprzykrzony:

— Mnie wyrzucać?! Szlachcicowi taki despekt?! I dla kogóż to?! Dla króla-niekróla, co wszystkie plagi egipskie na naród ściągnął. Co Szwedów na Rzeczpospolitą prowadził, Brandenburczyków, Kozaczyng, Tatarów?!... Król to?!

Co gdzie nogą stąpnie, to za nim głód i zaraza?! Co się nas teraz z dobrej woli wyrzekł i Francuza na nas podmawiać jedzie?!

— Spił się, musi, szlachcic i hałasuje — mruknął pan starosta ostrożnie.

Ale jak na króla spojrzął, wraz gębę i zawarł. Siedział teraz Jan Kazimierz prościusieńko, a lica, mimo wypitego wina, blade miał jak wosk. Brwi namarszczył, muszka na dolnej szczęce latała tam i sam, a dychał znowu ciężko. Na ową starościńską zaczepkę nie rzekł nic. Nasłuchiwał. Pilnie słuchał. A już dojeżdżali do węgła.

— Milcz, waszmość, bo się do korda wezmę! — krzyczał teraz Chrapowicki.

— Sam waść milcz, kiedyś dzieciuch! — darł się szlachcic. — A kobierców mi w proch nie rzucać, psiekrwie, bo moje własne!! Ja nie jak wasz Pan, co Wawel z narodowych kobierców obdarł i gdańskim Niemcom dał w zastaw! U mnie wszystko własne!!

A już Chrapowicki kolasę królewską dojrzał i poczerwieniał ze zmieszania, jak to młody.

— Milcz, asan!! — ryknął — bo Pan Miłościwy tuż!!

Teraz właśnie ją szlachcic tupać nogami o stopnie gospody, a drzeć się jeszcze mocniej:

— Asana to Pan, a nie mój!! Ja takiemu Panu nie służę, co koronę moskiewską narodowi zabrał!! Co z niej kamienie wydfubał i dziewczki w nie stroił!! Dla mnie *Ioannes Casimirus* żaden Pan!! Mąciwoda — nie król!! Różga Boża!

Wjechali na rynek. Już im się i aspekt cały odślonił. Żołnierze wyrzucali przez okna gospody sprzęt szlachecki, wypędzone konie łapano po całym rynku, gwardia stała murem i w cichości, a z boków wszystko, co żyło w mieście, gawieź cała, Żydki i drobny ludek mieszczański. Ci *theatrum* sobie z tego czynili. Na stopniach gospody jakiś szlachetka, w wieku już, rudawy i szczupły, aże trząśł się z wielkiej pasji. Ale na widok królewski zamilkł przecie.

Bo *Ioannes Casimirus*, mimo obolałych nóg, wylazł z pojazdu śpiesznie jak młodzik. Nim mu starosta pomóc zdążył. Zeszedłszy piórem u kapelusza potrząsnął gniewnie, a lewicą po rękojeści rapiru trzasnął, że zaraz tył kaftana poskoczył ku górze pięknie jak koguci ogon. Kawalerski był

Pan. Bokiem do szlachcica zwrócony, prawą go tylko ręką gwardii wskazał.

— Na co czekasz?! — rzekł porucznikowi srogo. — Wsypać błaznowi dwadzieścia odlewanych na własnym kobiercu! Bierz go tu sam!!

Zaraz też ruszyła gwardia, a szlachcic drzeć się począł w strachu jak zarzynane prosię.

— Nie pozwalam! — kwiczał. — Tociem szlachcic! Nie pozwalam!! — Waluś! Maciek! nie daj pana, psiakrew! Bij, kto w Boga wierzy! Bij!!

Ale gdzie czeladzi przeciw wojsku obstać! Udawali tylko, że się do bitki prą, a każdy własnej skóry pilnował dobrze. W mig też leżał szlachcic rozciągnięty na kobiercu i bizuny żołnierskie brał, jak się patrzy. Zatknęło go, musi, ze zdumienia i bólu, bo z rzadka tylko pod batem pokrzykiwał wysiłonym głosem:

— Rany Boga!! Nie pozwalam!... Gwałt!... Do grodu!... Nie pozwalam!!

Ale już Jan Kazimierz na to widowisko nie patrzył, tylko z majestatem wielkim środkiem rozstępującego się ludu do gospody kroczył, mocno o kamienie obcasami tłukąc. Po rycersku. Za nim starosta Kos.

Aliści zaraz za progiem i zamkniętymi drzwiami był tej królewskiej paradzie koniec. Ledwie do pierwszej izby wszedłszy siadł król na ławie ciężko i głowę ku piersiom zwiesił. Znowu wychodził zeń dech z charkotem, sapaniem i świstem. Szereki kraj kapelusza do pół lic mu się osunął, a pióro strusie kiwało się od tego dychania jak na wietrze. Otwartą krągło gębą łapczywie powietrze chwytał, jak ryba w garści. Widział się bardzo stary. O gołą ścianę wsparty, w kabłąk zgiął się caluski, a nogi wysunął przed się daleko i sztywno. Dychał. Nie wiedzieć, czy myślał co, czy rozumiał, co się w koło dzieje. Nie wiedzieć, czy słyszał owe rozpaczliwe jęki bitego szlachcica:

— Puście na Boga!! Dość!... Bo zamrę!...

Nie wiedzieć, czy widział pana starostę Kosa, jak nań spozierał ze strachem i konsternacją wielką. Przez jakieś drzwi wytknął ostrożnie długią, siwą brodę Żyd-gospodarz. Garbatym nosem powęszył chwilę, poświdrował mysimi oczkami i ruszył wreszcie w izbę na parę od drzwi kroków. A kłaniał się raz po raz i w pas i do ziemi. Kaszłał nawet cichutko. Ale nie dojrzał go król, ani

nie słyszał tego kasłania. Tylko pan starosta Kos huknął niegromko, a w złości:

— Precz, Żydzie!

Dopiero gdy ludzie sprzęt jeli nieść i kobierce, alkowę na spoczynek Pański gotując, uniósł król nieco głowy i siadł prościej. Kapelusz z głowy zdjął i na ławie złożył. Może i swobodniej już dychał, ale przy ciemnej peruce oblicze widziało się ciągle szare, do cna udęczone i srogie. Ludzie chodzili w koło na palcach jak przy trupie, a uwiłajali się ostro, bo Chrapowicki szeptem a i pięścią do pośpiechu ich naglił. Wyszukowali też alkówkę w pacierz. Znalazł się i ksiądz Otrębosz. Wiedział już, musi, o wszystkim, bo nachylił się nad królem jak nad dzieckiem i ręką go pod ramię ujął.

— Pójdźcie, Miłościwy Panie, w alkówce na kobiercach spocząć — prosił.

Już go i pan starosta pod drugie chciał ująć ramię, ale odtrącił ich gniewnie i o własnej sile poszedł. Tu, w alkówce, drzwi zaprzec kazał i siadł znowu, i siedział długi czas ponuro. Oni też stali nad nim ze zwieszonymi łbami milcząc.

Aż rzekł Pan:

— Powiedz nam, Kos, na Boga! co też ten naród sobie do nas upatrzył?!

— Spiał się szlachcic-jucha i baje! — mruknął starosta.

— Wiem, kto zacz, Miłościwy Panie — ozwał się i kanonik. — Pisarski z Krakowskiego.

— Pisarski? — nadstawił starosta ucha. — Nie słyszałem... *Homo novus* pewnie.

— Dwa lata suplikacje do królewskiej kancelarii pisał — mówił ksiądz. — On pisał, a jam dał i w ogień ciskał. O niepodobne rzeczy prosił.

— Też to właśnie! *Homo novus* — westchnął Kos. — Wiadomo, tacy najgorsi.

Ale już król obu rękami na nich machał.

— Nie to! nie to! — mówił prędko. — Nie o Pisarskiego nam idzie, tylko o ten naród polski! Toć jakeśmy niedawno dla ślubu spełnienia do Sokala ruszyli, Najświętszej Pannie się pokłonić, to urzędnicy ziemscy chowali się przed nami w do-
brach jak krety. Umykali w obie strony jak przed zarazą, miasto cześć Majestatowi okazać. Żołnierzy nam po grodach o byle co więziono jak zbójów, dla naszego despektu tylko. Do karczem woleliśmy zajeżdzać, jak do dworów, bośmy nigdy

pewni nie byli, jak nas posesor przyjąć raczy. Żali nie zeklnie wprost, jak pewna szlachcianka przed laty, a choćby i ten Pisarski. O to nam idzie. To nam, waszmościowie, powiedzcie: co ten naród sobie do naszej osoby upatrzył?!

Obaj znowu zwiesili łby milcząc, jako że nie łatwo szła na to z języka odpowiedź. Pan nie bardzo też odpowiedzi czekał.

— Czegóż chcą od nas? pytamy — gadał król coraz goręcej. — Toć sami nas z wolnej niby elekcji przeciwko bratu Karolowi obrali! Tociemy z ich własnej krwi królewskiej przez Jagiellonkę. Toć ojciec nasz do splendoru tej korony splendor korony szwedzkiej przyniósł a bratu Władysławowi jeszcze i moskiewską na głowę kładli. *Ze calamitates* za naszego panowania na naród spadły, jako ten szlachcic szczekał?! Klęski?! Pewnie — ale kto ich winien?! Nas to, nasze to wojska pod Pilawcami chłopci na spisach roznieśli, czy pospolite ruszenie?! Czy nam to kto tchórza zadać może?! Nam, cośmy już w pierwszej młodości pod Gallsem i Coloredą stawali mężnie? A i pod Beresteczkiem, choć nas tam, jako Majestat, za obie strzy-mywali ręce. Myśmy ich klęsk winni?! Ich klęsk,

kiedy po dziś dzień samą prawie jazdą wojują jak Tatarzy! Kiedy sztuki wojennej nie znają i znać nie chcą! Kiedy na piechotę i armatę łatwiej z kamienia sok, niżli z ich mieszka pieniądz wycisnąć można! My byśmy ich do zwycięstw nie wiedli? Aby jeno zwyciężać umieli! Miał zwycięstw, w najcięższej opresji własnego Pana opuszczają rączej. Jakże to ze Szwedami było? Chodziłby to *Carolus Gustavus* dwa lata po tej ziemi, żeby *fidelitas* była? My to, mówi ten szlachcic, Szweda prowadziliśmy! A Radziejowski gdzie? A Radziwiłły?! Nie masz w tym narodzie wierności. Każdy o swoje tylko stoi i Panu tylko w oczy patrzy, czy czego się urwać nie da. Nie mieliśmy do rozdania nic, bo już Jagiellonowie rozdali. Stąd to ich gniewy! Tu im krzywda!

Pan starosta Kos przy ostatnich słowach pańskich chrząknął, a i zachnął się nieco, jakby to do niego pito właśnie.

— Rozumiem, że najwięcej tu o królowę nieboszczkę idzie... O promocję księcia Kondeusza na króla... O elekcję... — gadał nieśmieie.

Panu zaraz kolory wróciły na lica, a rapież gniewnie o podłogę stuknął.

— Co nam tam, waszmość, duby smalone bajesz! O elekcję!... Cóż ta elekcja wasza?! Pieniądzy zewsząd nabrać, każdego zdradzić, spić się, nahałasować, a na samej Woli, to jakby kto w kości rzucił — szczęśliwszy wyjdzie, byleby się hołota do korda brała. Pewnie, żeśmy Kondeusza wam promowali! Rycerski to pan, z rycerskiego ojca. I krew wielka, a i człek, słyhać, twardy. Zęby połamalibyście sobie na tym Panu, jako i na królu Stefanie. W sam raz dla was właśnie. Ten by wam dopiero Majestatem w oczy świecił, jako i Ludwik francuski!!

— Przy wolności szlachta murem stoi — rzekł ksiądz. — *Absolutum dominium*...

— *Absolutum dominium* właśnie! Nic innego! — przerwał król. — Nie masz dla tego narodu inszej rady. Rozumiał to król Stefan dobrze, rozumiał ojciec, rozumiał i brat Władysław. Żeby nikt łba nie śmiał wystawić ze strachu, że mu go, jak Zborowskiemu, zetną! Boć jakże inaczej nad wami rządy sprawić?! Każdy szlachcic sobie pan, każdy błazen — elektor. Każdy panek pomimo królewskiej kancelarii konszachty z sąsiadami wie dzie jak monarcha. Któryż tu sejm gładko przechodzi?

A jeśli przejdzie, to jakież subsydia uchwali? Takie, że na otarcie sierocych łez ani zatkania żołnierskich gardzieli nie starczy! A senat o kogo pieczę ma? O Rzeczpospolitą, czyli o senatorów tylko? Jakże inaczej wami rządzić?! Toć jeśli król z lic się komu nie uda, albo wyciągniętej garści w czas nie napełni — to i rokosz gotowy. Bijże się z nimi potem! Jako i z Lubomirskim. Nie może to dłużej być, na Boga! Nie może to dłużej być! Bo upadnie ten naród! Już i tak pośmiewisko z siebie inszym czyni! Tak wam to dziś, po dwudziestu latach panowania, z serca mówimy: żelaznej pięści na ten naród trzeba! Pychę mu trzeba ze łba wybić!

Zasapał się król i znowu głowę ku ziem zwiesił.

— Różga Boża! — mrucał po cichu. — My ni by różga Boża na nich!

A starosta i kanonik milczeli oba. Nie w smak im, widać, Pańska przemowa poszła. Nie śmieli wobec Majestatu usiąść, a nogi zastały się im bardzo, że to obaj byli w wieku. Król zaś zapamiętał się znowu. Wreszcie starosta brzęku naczyń w izbie nasłuchując przedmuchał wąsiska z szumem:

— Wieczera, Miłościwy Panie. Jakiegoż kazać utoczyć wina?

Król ani głowy nie uniósł.

— Nie będziemy wieczerzać — rzekł. — Modlić się będziemy. Przyjdiesz ksiądz do nas, jak kłaśniemy.

Skoro wyszli, uniósł się z ławy powoli, o ścianę się dłonią wspierając; za czym rapira odpasywał długo. Zmęczył się. Znowu dłoń do piersi przyłożył i serca słuchał. „Stary jestem, stary“ — myślał król. Parę kroków jeszcze po alkówce zrobił, a oczyma szukał czegoś. Obrazka bł. Jana z Dukli, do którego od młodości szczególne miał nabożeństwo. Znalazł. Wtedy poduszki dwie z ławy poprzed obraz cisnął i ukląkł na nich ze stękanem i ostrożnością wielką. Czoło na białych dłoniach złożył, a puklami peruki całe oblicze nakrył. Trwał tak długo.

Gdy znowu głowy uniósł, lica miał mokrzusieńkie, a głęboką koło nosa bruzdą spływały łzy aż na barwiony wąs. Grube i ciężkie łzy.

— Miłosierny Boże! — szeptał król zwiędłymi usty. — Panie, miłosierny Boże! Otom ja, król, jak proch i robak ziemny przed Tobą. Znasz moją duszę, Panie, a i ja znam swoje przed Tobą winy. Wiem, za co karzesz, Panie! Za lekkość duszy mo-

jej, za to, że Ci słowa mojego nigdy dotrzymać nie umiał. Ale zważ, Panie, że i sobie go nigdy dotrzymać nie mogłem. Słabego mnie stworzyłeś jak dziecko. Tedy nie wedle win moich, ale wedle łaski Twojej niech mi się stanie, Boże! Podobało Ci się dzisiaj kielich zółci mi podać. Oto wychylam go duszkiem jak miód, za moje przed Tobą, Panie, grzechy. Odpuszczam wrogom moim i całemu temu narodowi, jakoś kazał, Panie. A ty, bł. Janie z Dukli, orędowniku mój szczególniejszy, świadcz czystość serca mego przed Panem i wstaw się wraz ze mną za tym moim narodem niewdzięcznym, co mnie dziś różgą Pańską nazwał. Bo Ty wiesz, Boże wielki, że do zguby ten naród idzie. Zezwól tedy, Panie, bym ja, Twój pomazaniec, choć częśćkę jego win na swoją starą przyjął głowę. Dla mojej skruchy zechciej doli ich ulżyć, Panie! Nie karz ich za mnie, miłosierny Boże!...

Tak to w żydowskim zajeździe w Pińczowie gorzkimi łzami płakał przed Panem król Jan Kazimierz. *Serenissimus Rex Poloniae, Magnus Dux Lithuaniae, Russiae, Prussiae, Masoviae, Samogitiae etc. etc.* — Starzec i nędzarz. — *Suecorum, Gothorum, Vandalorumque haereditarius Rex.*

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH

O PIĘCIU PANACH SULERZYCKICH

W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Piszę to ja, niegodny brat Jacek, bernardyn, reguły św. Franciszka, a *olim* we świecie — urodzony Leon Sulerzycki. Piszę zasię nie *pro* rzeczy doczesnych *memoriam*, *sed demonstrandi causa*, jako to wzgarda praw Boskich *et Reipublicae*, jako też duma i ona gwałtowność piekielna męże kwitnące w grób zawczasu spycha i całe rody do zguby rychłej przywodzi.

Było nas braci Sulerzyckich pięciu. Chłop w chłopu — bez chwalby próżnej rzekłszy — jak dęby: wzrostu dużego, rozłożystości, a i urody niepośledniej. Na to w Rawszczyźnie wsie familijne trzy, a i pod Lublinem dobra niezgorsze po s. p. matce-nieboszczce, urodzonej Górskiej. Drugi z rzędu brat, Michał, gospodarzył na ojcowskiej schedzie, a drugi znów po nim, Józef — na matczynych folwarkach. Ten mnie u siebie pod bokiem w Lublinie u OO. Jezuitów w kolegium trzymał.

Najstarszemu bratu było Jędrzej. Smaku w gospodarstwie nie czując służywał długi czas Miłościwemu Panu za rotmistrza w pułku Bartoszewicza, sławnego ongiś rycerza. Aż tu pruski Fryderykus na Marię Teresę, cesarzową rzymską, zdradziecko napadł, elektorstwo Miłościwemu Panu zajął i pułk Bartoszewicza wziął, jako i in-sze. Brata Jędrzeja, rotmistrza, na parol kawalerski do Polski abszytował obdarłszy go przecież jak lipkę.

Wrócił brat Jędrzej do domu zły jak pies. Już też — *Regis gratia* — zrobiono go rotmistrem straży przedniej, a i znaku pancernego towarzyszem, ale jemu mało i mało! Przywiózł nawet ze sobą z Drezna luterkę jedną bardzo gładkiej urody, aleć i ta cieszyła go niewiele. Umyślił dygnitarzem ostać. Dokazywał wtedy w Rawskim dużo. Pełno go było po sejmikach i zjazdach, a zawsze zbrojno i hucznie. Uboższą brać szlachtę karmił i poił po pańsku, a że do korda był skorszy niż do dobrego słowa, *statim* tedy całą Rawszczyznę za pas zatknął. Komu nie w smak — tego w pysk: niejedną tam skórę na jaszczur wygarbował.

Uchodziło mu, że to dumnie się nosił i był poważnego znaku towarzyszem.

W tym czasie Niemkę sobie zbrzydził i bratu Michałowi ją oddał, a sam ożenił się z Młodzianowską-wdową, urodzoną starościanką wiską. Wszczął się stąd wielki rozruch, bo jejmość była bogata, a szwagier Młodzianowski, jako bratanka opiekun, z majątków ustąpić nie chciał. Tylko że brat Jędrzej nie myślał długo. Dobra najechał zaraz, samego Młodzianowskiego wybatożył, a ludzi mu porębał szpetnie. Stąd akta i reakta po grodach, i na brata Jędrzeja kondemnatęk dwie. Ani sobie w wąs o to nie dmuchał. Na najbliższym sejmiku deputackim obrać się kazał i okrzyknięto go zaraz. Któż by mu się sprzeciwić śmiał? Ani w Rawszczyźnie wielkich panów, ani z bratem Jędrzejem żartów nie było. Kazał się obrać, to i obrali. A. D. 1752.

Retorykę wtedy w infimie gryzłem, choć mi się już dobrze puch na gębie sypał, jak to zdrowemu pacholłkowi w osiemnastu rokach. Częściej też bywałem wówczas *incarceratus*, niżli *laudatus*, a zdarzało się, że i wały na kobiercu brałem nie-

zgorzse. Skoro przecie Żydki do Lublina wieść o obiorze brata przyniosły, zaraz posadzili mnie Ojcowie na ławce suknem czerwonym obitej, między paniczów (za tą dopiero ławką stały insze, bejcowane, dla zwykłych posesjonatów, przy samej zaś ścianie — proste ławy sosnowe dla bursaaków i hołoty). Krzywili się panicze nieco, ale jakem im pięść pokazał, przymilkli zaraz.

A w tydzień może potem, przed samą trybunału reasumpcją, wezwano mnie do refektarza. Ażem poczerwieniał na gębie z pychy, brata Jędrzeja się spodziewając. Jakoż i stał tam z O. Rektorem — wysoki, barczysty, marsowego lica, w stroju oficjerskim cudnym. Anim mu w oczy spojrzeć śmiał, jeno w ramię ucałowawszy sterczałem, jak ten kołek w płocie, bez jednego słowa. A tu już O. Rektor *gravamina* na mnie przekładał, pobożność jeno moją wynosząc nieco, żem to kiedyś na procesji szlachciurę jednego, kalwina, poturbował z lekka. Brat Jędrzej słuchał tego i wása kręcił milcząc. Piękny mi się widział okrutnie: wieku lat może trzydziestu pięciu i strasznie kawalerskiego aspektu. Rzekł wreszcie:

— Pokłoń się, Leon, O. Rektorowi w nogi

i szatki świąteczne wdziej zaraz. Ze mną parę dni zamieszkas, żebyś też wspaniałość J. O. Trybunału mógł oglądać.

Zaraz za bramą, gdyśmy wyszli, rzekł do mnie jeszcze:

— A waść mi o te klesze *monita* nie stój, bo z tego chleba jeść nie będziesz! Jakże z tym szlachetką było?

— Ano czapki przed procesją nie zdjął, więcem go w pysk raz i na odlew.

— I cóż ten szlachcic?

— A nic. Zaraz się nogami nakrył.

Roześmiał się brat Jędrzej gromko i przyjrzał mi się łaskawie.

— Szatki to masz waść nikczemne. Cóż ten brat Józef? Skąpy chyba?

Takeśmy doszli do samej kamienicy Nussady-nich. Zajął tam brat na dole cztery izby, że to socjuszów - Rawszczan a i służby przywiózł ze sobą sporo. Zaraz wybiegł do sieni rodzicowy jeszcze sługa Chlebowski-stary (szlachcic ubogi, a przy naszym domu od młodości się wieszający) i obłapił mnie z uciechy obu rękami jak syna. Rzekł mu brat Jędrzej:

— A oporządź, Chlebosiu, brata, żebym się zań wstydu w kompanii nie najadł. Bardziej on w tym kubraczku na kościelnego służkę jak na Sulerzyckiego patrzy!

Zaraz tedy otworzył Chlebosio skrzynie i stroić mnie począł jak pannę na wesele. Żupan kitajkowy żółty, spodnie grodeturowe błękitne, buty z czerwonego safianu, ze srebrnymi podkówkami. Kontusz jeno wzięliśmy od brata Sebastiana, bo bardziej był mi w porę, że to brat Sebastian, pięcioma ledwo rokami ode mnie starszy, jeszcze brata Jędrzejowej miary w barach nie trzymał. Jakem się w tych szatkach w zwierciadle przejrzał, ażem poczerwieniał z uciechy: widziałem się sobie, jak sam najjaśniejszy królewicz. Też pycha wstąpiła we mnie wielka.

A tu wszedł znowu brat Jędrzej szablę niosąc grzeczna w ręce i rzecze:

— Naści, bracie! Pocziwa to szabelka i niejednogom nią dokazał. Niech ci służy: tobie na zdrowie, inszym na szkodę!

Więcem brata za kolana obłapił i klingę z dziwerowanym napisem ucałowawszy do boku sobie szablisko przypiął.

Za czym ruszyliśmy razem do izby paradnej, skąd już wrzaski szły na cały rynek. Siedziała tu kompania zacna, samych posesjonatów: pan Trzciniński, podczasy rawski, osilek znaczny, pan Chojecki z przeoranymski, pan Rapacki-kuternoga i paru inszych. Brat Jędrzej prezentował mnie wszystkim po starszeństwie, a ja kłaniałem się każdemu godnie, zaś z pychą, że ci też Sulerzycki, choć i młodziak. Tylko brata Sebastiana, co pod bratem Jędrzejem na Sasach służywał, całowałem w ramię, jak się należy. Najwięcej udali mi się pan Trzciniński i pan Bębnowski: pierwszy, że siłacz, drugi — jako *nomen omen*, bo brzuszysko wielkie jak bęben przed sobą dźwigał. Służba wnosiła już rynienki z bigosem, a pan Bębnowski śliwowicy przedniej ogromne kielichy lał każdemu, kto chciał i nie chciał. Nalał i mnie. Jakem wypił, zdało mi się, głupiemu, że do raju się był właśnie dostał. Jedliśmy ten bigos, potem zrazy ogromne z kaszą, potem prosiaki pieczone i kapłony młode, po jednym *pro personam*, tylko pan Bębnowski dwa. Do tego piwa jęczmiennego kufy. Aż podjadłszy dopiero, zabrano się do wina węgierskiego ostro. Zaraz też ochota wszczęła się bardzo dobra.

Każdy byle co biał a głosem wielkim, że przez stół nikt nikogo dosłyszeć nie mógł. Pan Trzciniński jął tynfy w palcach skręcać, a pan Bębnowski pił kwartę o zakład. Ja piłem mało, bo mi brat Sebastian bronił. Uważałem też, jak Chlebosio-stary cichcem wszedłszy coś bratu Jędrzejowi do ucha szeptał. Zaraz rozdeły się brata Jędrzejowe chrapy, jak ogierowi.

— Halt, towarzysze mili! — wrzasnął srogo. — Nowina! Sam pan Młodzianowski zjechał w trybunale mi asystować!

Tu poczerwieniał na gębie jak róża, trzasnął w stół pięścią, że mało rogu nie urwał, i wstał w gniewie. A i inni porwali się na równe nogi.

— Gdzie Młodzianowski?! gdzie?! — wołano. — Dać go tu nam, psubrata! Bić kutwę, na Boga! Bić!

Trzaskali w szabliska ogromnie i zaraz biec chcieli, jeno nie wiedzieli dokąd. Trzaskałem i ja, a pan Trzciniński, podczaszy, szczerząc zęby sztucce stalowe w rękach łamał i z pasją o ziem ciskał. Gwałtowno okrutnie.

Ale ich brat Jędrzej uciszył. Beczkę wina podlejszego, dwudziestu może garncy, przed wrota wy-

toczyć kazał, na kozły postawić, odszpuntować i kurkiem srebrnym zabić znowu. Siadł na niej pan Bębnowski okrakiem z pucharkiem w rękę, kilku w koło niego panów, za nimi służba. Chlebosio na przedzie grzecznie każdego mijającego szlachcica do picia prosił. Że już zmrok zapadł, czterech pacholków pochodnie koło beczki trzymało. Dawało to cale wspaniały obraz. Chlebosio raz wraz palcem o pucharek dzwonił i krzyczał woźnięmskim głosem:

— Prosimy, panowie bracia, prosimy!! Zdrowie J. W. Sulerzyckiego, deputata rawskiego!!!

Zasię pan Bębnowski brzuch przed się na beczkę wypiąwszy, jako ów sam pogański Bacchus własnie, a z półgarncowego kielicha pociągając niezradko, odkrzykiwał mu raz po raz:

— Sulerzycki, deputat rawski, niech żyje! Pijcie, braciszkuwie!! Pijcie, bo wino łebskie!

Jakoż wrychle zebrał się koło beczki tłum gawiedzi ogromny, a coraz to ukazywał się we świetle brat-łata jakowys i natoczonego pucharka ująwszy wlewał sobie ów nektar w grdykę, za czym czapkę o ziem ciskał i *vivat* bratu Jędrzejowi krzyczał. Zwykle też nie odchodził już, ale ostawał przy

beczce jak przyszyty. Panowie, a i pan Bębnowski z beczki pilne dawali baczenie, żeby szlachciura jaki z hurmy o suchej gębie nie uszedł rozumiejąc, że ten by ci był właśnie Młodzianowskiego *socius*. Kto sam się nie kwapił, tego służba sprowadzała grzecznie, choć i w kilku chłopca. Taka to była brata Jędrzejowa *planta*: jakby Młodzianowiczak za jego zdrowie pić i wiwatować nie chciał, zasiękliby go *stante pede* tusząc, że sam Młodzianowski za sługą by się ujął, za czym już by go szablami z miasta wypłoszyć się dało.

Aleć nie ułowili nikogo. Pił każdy. Jenó wina było szkoda na hołotę, a i pan Bębnowski, nad miarę napity, na pysk z beczki zleciał. Kazali ją tedy zaszpunktować znowu i do stancji wrócili, źli bardzo. Pili dalej na umór. Spać mi się chciało okrutnie, zem to u OO. Jezuitów do dnia wstawiał. Zległem też zaraz.

A nazajutrz spoza ranka ruszyliśmy do Fary, gdzie deputaci *iusticiam* zaprzysięgać mieli. Adherenci po wczorajszym pijaństwie skwaszeni nieco i chmurni, zasię brat Jędrzej w wojewódzkim mundurze surowy jenó i godny.

W kościele wszystko było z ostentacją wielką:

chodnik od samego proga rozłożony, szeroki, świec z jarzącego wosku rozpalonych tysiąc, tłum ludu do pół nawy gęsty, a na przedzie — aż precz ku ołtarzowi — deputaci z socjuszami, wszyscy na podziw strojni, że to każdy swoje województwo a i siebie samego pokazać chciał najwspanialej. Po odprawieniu mszy organowej solennej stanął najstarszy kanonik na ołtarzowych stopniach z krzyżem srebrnym w ręce, a obok J. W. Rudziński, wojewoda podówczas mazowiecki, starzec wiekiem schyłony już bardzo, a powagi ogromnej. Teraz jął woźny z wokandy każde województwo wołać, a deputat za wojewodą przysięgi tenor powtarzać gromko. Szli tak jeden za drugim z pompą i majestatem jako ta *summa*, a i jedyna *legum Regni* ostoja. Ażem się zapatrzył na to widowisko, gdy oto pan Trzciniński-wielkolud w palce mi koło ucha trzasnął i rzekł do brata Jędrzeja grubym szeptem:

— Panie Jędrzeju! Już Młodzianowski, jucha, z despektem ku nam bieży!

Za czym głową ku drzwiom zakrystii wskazał. Spojrzałem ciekawie. Jakoż przedzierał się tam przez deputatów szlachcic średniego wieku, ni duży, ni mały, jenó z pyskiem wilczym, a wargą wąs-

ką i zaciętą. Stanąwszy przy wojewodzie kłapał mu tam do ucha chwilę, jak wilk. Przyszedł przez zakrystię, bo luda miał ze sobą mało i nie na siłę, widać, rachował, tylko na majestat trybunału i miejsca. Wojewoda na owo kłapanie łbem mu kilkakroć kiwnął: zmówili się, widać, dawno. Patrząc nań, jak stał tam przy ołtarzu, a i na brata Jędrzeja spojrzawszy zmiarkowałem zaraz, choć młodzik, że się tu *sine sanguinis profusione* nie obejdzie.

Jakoż tak się i stało.

Ledwie przyszła wokanda na województwo rawskie i brat Jędrzej z brzękiem podszedłszy rękę ku przysiędze wznosił, huknął Młodzianowski na cały kościół:

— Nie pozwalam przysięgać! Dwie kondemnaty na nim! Mężobójca! Infamis!

Zaś brat Jędrzej rękę wzniesioną piorunem na lewy bok spuścił i szablę wyrwawszy w łeb nią Młodzianowskiego ciachnął bez słowa. Za czym leżącemu poprawił ze dwa razy.

Uskoczywszy wojewoda na ten widok obie dłonie ku sklepieniu uniósł i krzyknął:

— *Crimen*, mości panowie! *Sacrilegium!* Gwałt!

A insi, co bliżsi, huknęli na cały kościół:

— Gwałt, mości panowie!! Gwałt! Do szabell!

Od razu też rozruch wszczął się okrutny. Łyczki i hołota, co z samej jeno asystowała ciekawości, sypnęła się od razu ku kruchcie w wielkim strachu. Urodzeni jeli w szable trzaskać gromko, a każdy darł się: gwałt! i bij! — jeno że mało kto, o co chodzi, rozumiał. Tupot stanął w kościele, zamieszka i wrzask, jak nigdy. Ale już brata Jędrzejowi *socii* na ową przygarść Młodzianowskiego wpadłszy rozerwali ją w mig i rąbiąc pędzali po prezbiterium jak psy owce. Sam brat Jędrzej krzyczącego wojewodę szablą w stalle kanonickie wpędziwszy szubkę na nim po kilkakroć przeciął, że stary przycichł zaraz. Za czym pana Zarembę, sędzię ziemskiego sieradzkiego garścią za ramię chwyciwszy przemocą do ołtarza powłókł i płazem do czytania sobie *tenoru* zmusił.

— Czytaj, waszmość — groził — boś trup!

Też i czytał. Zaś brat Jędrzej w lewicy skrważoną szablę dzierżąc prawą dłoń na Ukrzyżowanym złożył i przysięgę wszem wobec powtarzał gromko.

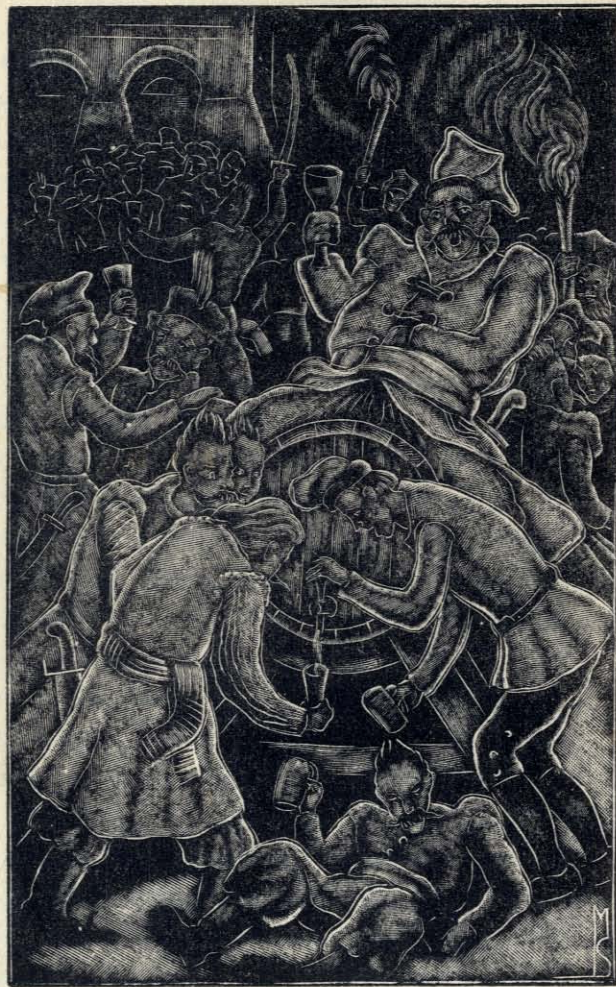
Co uczyniwszy, na rozruch więcej nieuważny,

mocnym krokiem przed kościół ku wyjściu ruszył. *Socii*, a i my, bracia, za nim. Szeroką nam dano drogę: nikt nic nie gadał, by zaś samemu czegoś przy tym nie oberwać. Wyszedłszy otarł brat Jędrzej szablę o poję munduru i w pochwę ją wraziwszy ze szczękiem zaśmiał się do nas:

— Tom ci już teraz deputat przysięgły.

Ruszyliśmy do ratusza hurmem. Warta bron przed bratem sprezentowała pięknie. Insi deputaci usuwali się od nas krzywą, ale nie rzekł nikt słowa. Skoro nikogo już nie brakło, ni ze świeckich deputatów, ni z duchownych, wzięto się do *scrutinium* na marszałka. Za parę też pacierzy huknęły móżdżerze na wiwat. Wyszedł tym razem J. W. Dunin-Karwicki, regent koronny. Pan niewielki, tylko uczony bardzo.

Okrutna była wśród moich panów z tego Karwickiego radość. Rozumieli, że jako człekowi nie bardzo możnemu, nie stanie mu serca na brata Jędrzeja się porwać. Boć i jakże? Toć deputatem z Rawszczyzny obrany legalnie, a i Pan Miłościwy własnego rotmistrza na krzywdę by nie dał. Nie waży się mości Karwicki, choć i Dunin! Bakalarz to raczej, nie marszałek! Toć i na ucztę, jak się



to marszałkowi patrzy, deputatów nie prosi!
Beczki wina kolegom żałuje!

Za to brat Jędrzej tego dnia wina nikomu nie żałował. Lało się od samego obiadu do północkska jak woda z onych upustów niebieskich. Pili panowie w stancji, piła i drobniejsza brać na Rynku przy pochodniach jak wczora, piła służba, piła czeladź, zgoła pił każdy, kto chciał. Piłem i ja. Sam brat Jędrzej pucharek węgria przedniego mi nalał i dłoń na moim ramieniu złożywszy winszować mi sobie zezwolił łaskawie. Już mi i brat Sebastian nie bronił. Piłem też i węgierskie, i małmazję, i cypryjskie słodkie, piłem i miód stary, dziadowego jeszcze sycenia. Piłem, bo mi się cała rańsza sprawa nie bardzo wydała, że to w kościele. Niewielka to rzecz Młodzianowskiego-jakiego zrąbać w ulicy czy na rynku — ale insza przy ołtarzu, przed samym obliczem Boskim! *Sacrilegium!* Skóra mi na grzbiecie ze strachu a może i z wina cierpła. Nie było mi tajne, że kościół tam po nas wykadzać będą jak po zapowietrzonych i widziałem się już na samym dnie piekiel *cum parricidis haereticisque*. Z drugiej strony, com w brata Jędrzejowe lica spojrział, zaraz najszczęśliwym afektem braterskim

płonałem doń znowu i diabłu w gardło za nim gotów byłem biec zaraz. Piłem też z alteracji owej mocno.

Piłem mocno, ale nie wydołałem pić długo.

Wszedłszy Chlebosio po wieczery, aże w dlonie na mój widok klasnął. — A bójcież się Boga, mości panowie! — krzyczał. — Cóż mi to z dzieckiem robicie?! — Krzyknął: — schoruje się i tyle. Rozesmieli się wszyscy, a ja chciałem właśnie korda na Chlebosia dobyć, jeno że wstawszy runąłem zaraz na ziem jak ścięty. Wyniosła mnie służba na łożo jak trupa.

Spałem też nazajutrz cały ranek o Bożym świecie nie wiedząc. Jużem i na trybunał wstać nie mógł, choć mnie i budzili.

Dopiero koło południa Chlebosio stary nakrycie ze mnie zdał siłą i jał mną trząść jak workiem. Ledwie jedno oko na niego otworzyć zdołał, bo we łbie miałem prawdziwe diable wesele. Ale tym tylko okiem na starego spojrzawszy skoczyłem zaraz z posłania na równe nogi. Lica bo miał jak trup, a trząśł się jak pod mieczem.

— Co się stało! — wrzasnąłem.

— Nieszczęście! — jęknął. — Wstawaj, Leon, bo nieszczęście! Pana Jędrzeja pod straż wzięli.

Nie rzekłem na tę wieść nic, jeno kazawszy sobie łeb zimną wodą zlać po kilkakroć, odzienie na się kładłem śpiesznie.

— Jakże było? — pytałem.

— Ano, jak się deputaci na ratusz zeszli, to zaraz i do pana Jędrzeja. Że skoro kondemnat nie zniósł z siebie legalnie, zasiadać z nimi nie może. Za czym prosili na ustęp. Wszedł pan Jędrzej grzecznie, obiecując wrychle się z nich oczyścić. A tu ledwie w przysionek parę kroków zrobił, zasadzona tam warta łap go za obie rączki. Siedzi teraz w kordygardzie pod mocną strażą.

— I nie bronił się?

— Jak się tu bronić?! Karabelkę miał tylko na sobie leciuchną, a i tę wzięli mu zaraz. *Nec Hercules contra plures!*

Przeszedłem do izby paradnej, gdzie już wszyscy nasi panowie byli w kupie. Nastroszeni jeno i chmurni jak sowy. Ledwie mi poniektóry głową na powitanie kiwnął. Gadali mało. Brat Sebastian siedział blady i groźny. Sam pan Bębnowski tylko z gębą jak burak, a z pucharkiem dla pociechy

w ręce, trząsał brzuszyskiem okropnym w złości i wykrzykiwał:

— Jakże to, bracia?! Jakże szlachcica prawem niepokonanego więzić?! Gdzie *legum fundamenta*?! Gdzie wolność?! Huczek zrobić! Na miły Bóg, huczek zrobić!!

— Łatwo waćpanu gardło drzeć, kiedyś i u Fary nie był, jeno jak wieprz spity leżałeś — mruknął pan Rapacki.

Aleć mnie pan Bębnowski swoim słowem w samo serce trafił. Azem poczerwieniał.

— Co tu radzić, mości panowie! — krzyknąłem. — Szlachtę zebrać i na ratusz!! Odbić brata siłą i kwita!

Tu otworzył na mnie pan Trzciniński, podczaszy, oczyska ogromne i jał nimi obracać w gniewie, jak sam puchacz właśnie.

— Jakem, jako i waść, mleko miał pod nosem, tom się i na tureckiego cesarza samotrzeć wybierał. Jeno że mi nie stanął — rzekł. — Co tu gadać! Nie nam się na Trybunał porywać. Ani się na to hetman wielki, ani sam graf Brühl ważyć może. Dla nas, mości panowie, byleby samym głowy spod gorącego prawa unieść, bo już się nam na karkach

chwieją. Tociem panu Jędrzejowi jak brat rodzony, a przecież nijakiej rady nie widzę. Jedną chyba: wał, panie Sebastianie, do Miłościwego Pana po glejt chwili próżno nie tracąc!

— W Grodnie Miłościwy Pan — rzekł pan Chojceki. — Sejmowi przytomny, co się tam agituje. Daleka droga.

— Nie bliska — przyznał podczaszy. — Aleć inszej rady nie ma.

Za czym wstali. Jeszcze pan Rapacki szabliskiem o bok się trzasnął i splunął:

— Udał się nam Karwicki, jucha! Hę?

W godzinę może wyruszył brat Sebastian do Grodna, a insi panowie rozjechali się tegoż dnia o zmierzchu, chyłkiem. Ostał tylko sam pan Bębnowski, a nazajutrz przybył i brat Józef z pobliskich dóbrów. Jęliśmy teraz do deputatów co możniejszych suplikacje wnosić, ale mało kto chciał z nami gadać. Na trybunał, ani do marszałka warta nie dopuściła nas zgoła, a i brata Jędrzeja widzieć nam nie dano. Włóczył się jeszcze pan Bębnowski po gospodach ostatnich, by zaś rozruch jaki wśród hołotki wzniecić, ale nie szło mu to wcale, że już i księża z ambon przeciw bratu Ję-

drzejowi o *sacrilegium* wrzeszczeli mocno. Tyle że co dzień spity nocą do dom wracał. Siedzieliśmy tedy, po onych daremnych instancjach *afflicti* i milczący, jako po pogrzebie. Cała nadzieja była w królewskim glejcie, co go brat Sebastian miał przywieźć.

Trzeciego dnia czytali brata Jędrzejowy wyrok. Dopuszczono i nas, braci, na owo czytanie. Odzieliliśmy się żalobnie i szli gorzkie łzy lejąc, bo głośno już było w mieście, że na gardło skazan. Pchał się za nami na trybunał kto żyw, ale warta puszczała tylko urodzonych, i to bez oręża. Dano nam wśród arbitrów miejsca, a wraz po wejściu trybunału wprowadzono i brata Jędrzeja pod godną strażą. Wszedł dumnie i cały czas nic po sobie, prócz pychy, nie pokazał. Deputatom nie skłonił się wcale, jeno patrzył na nich chmurnie, jakby to on ich właśnie, a nie oni jego sądzić mieli. Dopiero nasze braterskie łzami zalane lica dojrzawszy skinął nam raz jeden lekko głową.

A tu już krzyknął *instigator*:

— Woźny! Otwórz i zamknij drzwi!!

Nastała wielka cisza. Podeszedszy woźny ku drzwiom ponuro, rozwarł ich obie połowy, a wraz

i zatrzasnął z takim hukiem, że aż się ratusz w posadach zatrząsł.

Na to mu *instigator* znowu:

— Woźny! Otwórz i zamknij drzwi!!

Znowu trzasnął woźny drzwiami, jakoby z armat walił. Czynili tak po trzykroć. Gdy ostatni huk po sali przeszedł, zmartwiały wszystkie serca, a tu i ówdzie ucieranie nosów słyszeć się dało. Krzyknął teraz woźny tegim głosem:

— Uciszcie się, mości panowie, do słuchania dekretu!!

Zaraz też deputaci świeccy nakrywszy głowy wstali z rumorem wielkim, zasię duchowni siedząc lica jeno ukryli w dłoniach, jako że *ratione* stanu swego głosów za dekretem śmierci nie oddali. Za czym pisarz ziemski czytał bratu Jędrzejowi, jako te imieniem *Regis et Reipublicae* głowę ma dać pod topór. Nie rzekł na to brat Jędrzej nic. Nawet kolorów na licach nie zmienił. Łba jeno jeszcze wyżej uniósł, a patrzył dumnie i chmurnie, jako i wpróżdzi. Wyprowadzono go też zaraz. Okrutne teraz poszły po sali wzdychania, mną zasię taka żałość targnęła, że na nic już nie bacząc, jeno się przez

arbitrów przedarłszy, padłem przed trybunałem na kolana z okropnym rykiem:

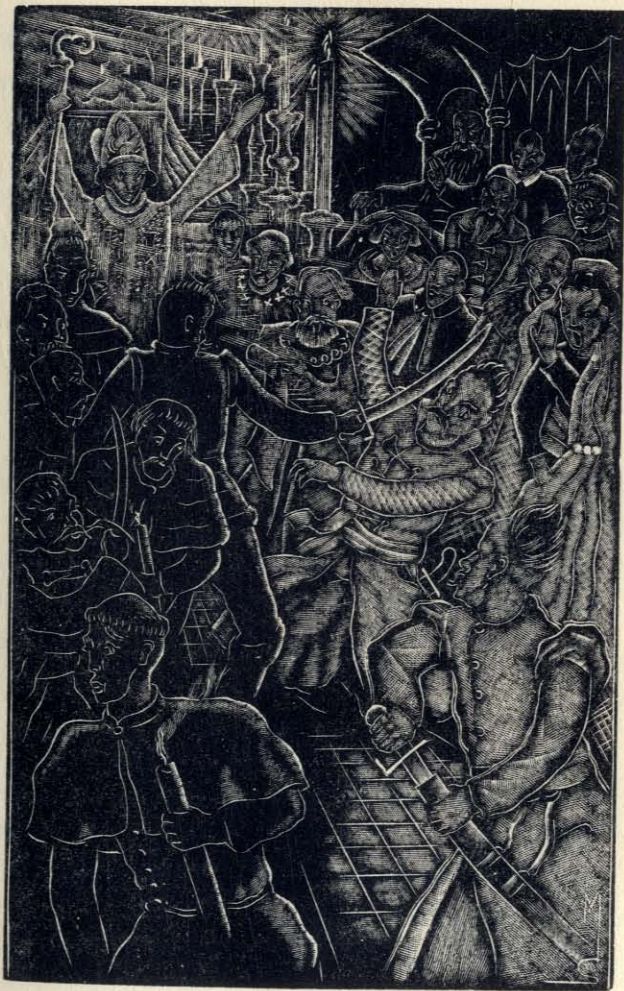
— Łaski, J. W. Panowie! Łaski przez Boga żywego! Łaski!!

Ale porwała mnie straż zaraz i na rękach do sieni wyniosła.

Twarde miał imć Karwicki serce! Płakać nam jeno pozwolił, a i widzieć brata Jędrzeja raz jeden.

Płakałem też wstydu wszelkiego zbywszy dzień cały a wieczorem, jako nam pozwolono, poszliśmy do kordygardy.

Brat Jędrzej spokojny był na podziw. Zastaliśmy u niego dominikanina-księdza i patrona trybunału, z którym sukcesję po sobie obmyślał. O nas, braciach, pamiętał o każdym, nie przepominał też przyjaciół, ani sługi żadnego. Skoro patron wyszedł, siadł z nami dłuższą chwilę i z braterskim afektem o drobnych sprawach mówił. Bratu Sebastianowi wszystkie swoje suknie, mnie cały oręż oddać kazał. Brata Michałowej opiece konia starego polecił, co w wojnach pod nim chadzał. Zgoła gadał o sobie jak o umarłym. Znowu polaty się moje łzy i łkałem tak, że mnie niczym wstrzymać nie mogli. Brat Józef perswadował, jako brata Se-



bastiana z glejtem jeno patrzeć. Zachnął się na te nasze łyzy i pociechy brat Jędrzej, spochmurniał nieco i rzekł:

— A to idźcie już lepiej, braciszkuwie mili! Z Bogiem mi tylko teraz rozmowy toczyć, nie z ludźmi. Jego też łasce was, bracia mili, oddaję.

Za czym obłąpał każdego z nas gorąco i ku drzwiom wypychał z lekka. Tyleśmy go i widzieli.

Święto go w kordygardzie do dnia, przy pochodniach.

A skoro świt, wpadł na Rynek brat Sebastian z glejtem. Spienionego konia pod stacją zdarł i hukał na mnie gromko. Wylegliśmy wszyscy we chwilce. Gębę miał brat Sebastian od niewczasu żółtą, oczy gorączkowe w czarnych dołach, a wychudł cały na drzazgę. Ostatkiem głosu ku nam rzucił:

— Żyje też?!

Na wieść o nieszczęściu jęknął tylko i pięść ku niebu wzniosłszy Bogu chciał bluźnić. Zaraz mu brat Józef gębę czapką zatkał, ale i tak niewiele mógł przemówić, bo chwiał się na siodle z mordegi i zaraz ludziom na ręce leciał. Nim go do stacji wnieśli, spał już jak dziecko i spał tak półtorej do-

by. Nie dziwota: w trzy dni pięć koni zajechał na śmierć i sto dwadzieścia mil odwalił daremno. O trzy jeno godziny się spóźnił.

Na taki to bratu Jędrzejowi srogi koniec przyszło. A po jego śmierci jakby zaraza na nasz dom padła. Naprzód brat Michał od towarzysza pancernego, co podatki wojskowe w powiecie wybierał i ową luterkę gładką bratu uwiózł, w pościgu, gdy go był dopadł, z rusznicy legł ustrzelon. Brat Sebastian też niewiele rokami brata Jędrzeja przeżył. Zaraz po swej do Grodna wyprawie, z żalu wielkiego ojczyznę sobie miłą zbrzydźwwszy do Sasów się zaciągnął i w bitwie przeciw Fryderykusowi bez chwały głowę położył. A niedługo po nim i brat Józef, gdy letnią porą dla znacznych upałów spać na siennik zalażł, od ognia z lulki zaproszonego wraz z całym siennikiem spłonął.

Mnie, najmłodszego, zgoła insze, lubo też mizerne, czekały przygody. Jużem po owym okrutnym na trybunale familii naszej uczynionym despekcie do O.O. Jezuitów nie wracał, boć wstyd tylko i hańba mnie tam *expectabant*. Trzy lata przy bracie Józefie baki zbijałem, pókim się za J. W. ordynata Zamoyskiego instancją na dwo-

rganina do hetmana w Białymstoku nie dostał. Nie z potrzeby, jeno aby się we świecie rozejrzeć, obyczajów tudzież gładkich nabrać i poloru. Służyłem lat kilka J. W. hetmanowi wiernie, że to godniejszego dworu pańskiego w całej Koronie wówczas, a i na Litwie chyba nie znalazł. Byłem też tymi czasy po słowie z jedną panią zacną z Rawszczyzny, a i powinowatą naszą, z którą oboje afekt ku sobie czuliśmy najszczerszy.

Aż tu i na mnie fatalny *casus* przyszedł. Służbę dnia tego przy samym J. W. hetmanie sprawiałem, gdy oto pod sam obiad zajechał przed pałac — pan Dunin-Karwicki. Ten ci sam Karwicki, co brata Jędrzeja ściął w Lublinie. Zatrzęsła się we mnie na tę wieść każda żyłka i zaraz cały rozum z żalości i gniewu straciłem. Stanął mi znowu w pamięci brat Jędrzej na marach z ową krwawą, katowskim mieczem na szyi uczynioną pręgą. „Przez żywy Bóg“ — myślałem — „Trza mi teraz brata Jędrzeja pomścić!“.

Chciałem się już z czekaniem na Karwickiego rzucić, alem poniechał, w bliskości go ujrzawszy. W wieku bo już był wielkim, zasuszony, mały i siwiuteńki jak gołąb. Oczy mu jeno pod nawisłą

brwią chodziły złe i surowe. Jakże tu starca bić?! Umyśliłem inaczej. Skoro rozsiedli się już wszyscy (a cały dwór *in corpore* zasiadł, jak to przy gościu), pchnąłem się na ustępie sztucem w rękę i krwi własnej farfurkę natoczywszy skrwawioną dłonią przed Karwickim ją postawiłem z ukłonem.

— Sulerzycki jestem — rzekłem. — Naści, mości Karwicki!! Nasyć się krwi naszej!

Oslupieli wszyscy, a staremu ledwie oczy ze łba nie wylazły. Gębą ruszał długo bez jednego słowa, a patrzył na mnie srogo jak ryś. Wstał wreszcie i rzekł nie mnie, jeno hetmanowi z wielką obrazą:

— Jakże to mnie pan hetman gościsz?!

Aż się zaślinił i pianą bryzgał w tej złości. A i hetman, choć zawsze rad mnie widział, o straż jął krzyżeć i o bizuny. Za czym, choć w nogach niemocny, wstał ze stękaniem i Karwickiemu się sumitował.

Mnie zasię wyprowadziła straż do egzekucji, bo hetman sto bizunów wsypać mi kazał. Przyleciał marszałek zły bardzo, ale jakim mu rzecz całą przełożył, złości zbył od razu. Dałem jeszcze pacholowi, co egzekucję sprawiał, dukata bitego i pięścią

mu pogroziwszy zległem na kobiercu posłusznie. Bili mnie też dla parady jeno, jako się suknie trzepie, że zaraz z ławki wstawszy mogłem na koń siadać i precz ze swoją służbą jechać. Nie weszły tu moje nadzieje na dalsze za łaską hetmańską rzeczy, ale i tak się udało, zem Karwickiemu - jusze nosa przyciął. Ruszyłem prosto w Rawszczyznę umyślniejszy ziemiański chleb jeść odtąd, a ożenić się co rychlej.

Aliści *res adversae* rade parą chodzą. Przyjechawszy dowiedziałem się zaraz, że mi rodzice pannę miłą cichcem w Wielką Polskę wywieźli i tam za miecznika poznańskiego, wielkiej fortuny człeka, za mąż dali. Ryknąłem na to jak tur, w komnacie się zamknąłem i ryczałem tak ze sześć tygodni. Nie chciałem wtedy ludzi ani dnia Bożego oglądać, bo mi się *intestina* skręcały z żalu, a serce pod samą grdykę podeszło. Za czym, do rozumu wróciwszy gniewem się zawiąłem okrutnym. Jąłem hultajów w powiecie werbować i grosz wszelki do kupy gromadzić, bom już zbójckim sposobem na tego miecznika chciał iść, dom mu ogniem palić i niebogę swoją porwawszy na Niemce z nią uciekać. Piłem też na umór. Mało kto z sąsiadów godniej-

szych mnie odwiedzał, bo byłem wtedy na ludzi jako pies wściekły. Piłem też z byle kim, z hołotą i z przejezdnyimi, którychem służbę na rozstajach łapał.

Aż bernardyn jeden, braciszek ze szlachty a i pi-jak dobry, skarg moich na losy złe wysłuchawszy, rąbnął mi *ex abrupto*:

— Toć dziecko, dobrodzieju, dojrzy, że Bóg was, Sulerzyckich, doświadcza. Na ofiarę sobie Pan pana Jędrzeja obrał, żeby sprawiedliwość wnieść w narodzie. Nie wiesz to, dobrodziej, że po pana Jędrzejowym ścięciu każdy trybunał, w Piotrkowie czy w Lublinie, bez gwałtu się oby-wa? Wszystkie dekreta pan Jędrzej krwią swoją pieczętuje. Że zasię z okazji onej i Pana w Jego świątyni obraził, stąd na was, Sulerzyckich, kara. Nie o skargach tu, dobrodzieju, ani o nowych *ex-cesach* myśleć, jeno pokutę czynić i Bogu za łaskę dziękować.

Zgniewałem się na tego braciszka mocno i precz mu kazałem ruszać. Ale w serce mi jego słowa wpadły. Im dłużej o tym myślałem, tym jaśniej mi się widziało, że ów *simplex servus Dei* jakoby w ot-wartej Boskiej księdze czytał. Już i pijaństwo ode-

szło mnie pomału, już i hultajów zwerbowanych na cztery rozpędziłem strony. Sam zasię w sukni najskromniejszej i jedynej na kałamaszkę w jedne-go konia siadłszy, do bernardynów do Zamościa na rekolekcje jechałem. Tu, gdym czterdzieści dni na postach i biczowaniu spędził, oblała mi łaska Pańska serce weselem wielkim. Umyśliłem bernar-dyński habit przywdziać, jak i ów braciszek pro-roczy, bo jużem we wszystkim palec Boży widział. Tak się też stało mimo brata Józefowe (co żył był, nieborak, jeszcze) gniewy. Chciał mnie później bi-skup na księdza święcić, alem się wyprosił dla po-kory i tym większej za ród Sulerzyckich pokuty.

Nagrodził mnie Pan spokojem i wesołością. Kie-dy mnie teraz pan jaki na despekt służbie da, albo i psami wyszczuje, jako braciszka prostego, śmieję się jeno z takiej przygody miarkując, że na tamtym świecie brat Jędrzej umiłowany cieszy się z takiego pysze Sulerzyckich afrontu. Jeszcze za Barskiej Konfederacji dał mi Pan szczęście prochowej woni powąchać i w Częstochowie, Najświętszej Pannie ku obronie, niejedno działało na schizmatyków niec-nych zrychtować celnie. Zgoła dobrze mi życie ze-szło. Dzisiaj, kiedy mi już kaptur włos cały na łbie

wytarł i co dnia szerść bielutką na gębie brzytwą skrobie, rozumiem, żem najprostszą ku chwale Sulerzyckich obrał drogę. Śmierci już tylko dobrej *excepto* i zbawienia wiecznego. Co niechaj mi się stanie. Amen.

KNIAŻ KURBSKI

„Książ Kurbskij ot carskawo gniewa bieżał...“
(Al. Tołstoj)

W roku Pańskim 1579 wziął król Stefan Połock od carskiego wojewody wołyńskiego. Że to w ostatnich czasach twierdza przechodziła z rąk do rąk kilkakrotnie, dostał się więc królowi sam zamek i to nadszczerbiony mocno. Z podzamcza sterczały tylko poczerniałe zgłiszcza, na których psy wyły. Toteż ciasnota była we wszelkim budynku wielka. Poza królem musieli się i panowie pomieścić, a i z rycerstwa co znaczniejsi. Między służbą i między ciurami wybuchały raz po raz srogie kłótnie i bitki. A tu zjechało jeszcze poselstwo moskiewskie.

Kniaziowi Andrzejowi Michajłowiczowi Kurbskiemu dano w monasterze dwie celki: jedną dla samego kniazia, drugą dla służby. Właściwie to nie tyle mu dano, co sam je przemocą zajął po dobrej zwadzie z młodym Sapiehą. Nawet ze służby sapieżyńskiej człowieka jednego w tej okazji porąbać wypadło. Był już u kniazia wczoraj *secretarius* kanclerski i na dziś go do pana Zamoyskiego

wzywał. Ani chybi, tylko starego Sapięhy to robota.

Obudził się też dnia tego książę Kurbski w wielkiej zgrzyzocie. Wilczurę z siebie nogami skopał, na ławie siadł, o stół łokciami się wsparł i medytował ponuro.

Piętnaście już lat minęło, jak przed cara Iwana gniewem do tej Polski ze służbą uciekał. Namówiły go Lachy: podkanclerzy Wołłowicz namawiał, namawiali Radziwiłły... I król nieboszyk obietnic nie szczędził. Zdawało się książętom, że tu, w Rzeczypospolitej, w potęgę wielką wzrośnie, że królom radzić będzie, że wojska polskie na Moskwę, na przekłętą Iwana powiedzie... Marzył, że Iwana zwalczy, pogiębi, że Sobór Ziemski zwoła i na stolcu carskim zasiędzie. Śniła mu się czapka Monomacha na własnych skroniach. Bo i cóż? Czyż on nie Rurykowiec jak i Iwan? Czy nie udzielny książę? Nie Kurbski-Jarosławski?

Śmiał się dzisiaj z tych marzeń gorzko.

Namówiły go chytne Lachy. Dali mu, jak do nich przeszedł, lenno kowelskie, ze starostwem kurskim, i rzekli: „Teraz ziemiaństwem się, książę, baw i siedź cichutko, bo i tak szlachta krzyczy,

żeś za wiele dostał“. Do króla nie wołali go nawet, a jeśli wojska jakie prowadzał, to tę garsteczkę chyba, co ją sam z lenna wybrał i uzbroił. Nie zostawili mu z dawnej sławy nic. Jemu Kurbskiemu książętom, wodzowi i wielmoży, kazali ziemię orać, jak ratajowi. Chciał się jeszcze wznieść przez małżeństwo z kniahinią Holszańską, wdową, ale tu: właśnie jakby na gniazdo os nastąpił. Rzucili się nań o dobra Holszańscy - pasierbowie, Kierdeje-Oliżary, Montowty i Sapięhy, zgoła pół Wołynia i Litwy przeciw sobie ruszył: toć po dziś dzień, choć się dawno z wredną babą rozwiódł, sądami go nekają i zajazdami.

Ciężko się książętom w Polsce żyje. Ledwie w tym roku krzynę szczęścia zaznał wwiódłszy w dom po Holszańską starościankę krzemienicką, Siemaszkównę, pannę młodziankę i zającą. Dzieciątka się teraz od niej spodziewa. Może syna urodzi, księcia Kurbskiego, dziedzica?

Ale i tę radość troska jak czerw toczy. Cóż bo, poza imieniem, książę Andrzej synowi zostawi? Lenno i starostwo dożywociem tylko z łaski królewskiej trzyma. Oszukały Lachy! I w tym oszukały! Nie dali właściwie nic: ile służysz, tyle masz. Kła-

niaże się teraz, kniaziu, kanclerzowi Zamoyskiemu, do nóg polskim panom się ściel — może synowi łan roli, jak chłopu, wypuszczą!

Rozzarił się kniaz gniewem i w stół pięścią trzasnął.

Wszedł na to ulubiony sługa kniaziowy, Kałymet, Tatar wysokiego rodu, którego Kurbski z rzezi kazańskiej ocalił, jako chłopaczka, i w domu swoim, w wierze prawosławnej wychował. Ten służył mu odtąd wiernie, jak nikt. Teraz niósł żur z kaszą gorący i czekał, aż się kniaz nasyci.

Kurbski jadł długo milcząc.

— I cóż? — pytał wreszcie.

— Sapieżyńscy odgrają się mocno. A i z Mosztowty gardłują w obozie.

— Zjedzą diabła! — mruknął kniaz. — Kogo z Moskwy przysłali, wiesz?

— Okolniczy Gołowin posłuje i Sofronow diak. Bojarów z nimi trochę.

Kurbski zniżył teraz głos do szeptu.

— Podsyłałeś do nich?

— Posnik-Turowicki chodził. Dostać się do nich trudno. Dopiero jak młody kniaz Szujski Wasyl na dwór za potrzebą wyszedł, to gadał z nim

krótką chwilę. Aleć ledwie Posnik imię twoje, miłościwy kniaziu, raz wspomniał, odepchnął go Szujski tak, że się stary zatoczył. Tyle i było.

Zachmurzył się Kurbski bardzo.

— Próżna to rzecz, miłościwy kniaziu, z nimi gadać — ciągnął Tatar szeptem. — A widzi mi się, że i nas mają tu na oku.

— Kto ma?

— Kręcą się różni ludzie... Kanclerscy chyba.

Zachmurzył się Kurbski jeszcze mocniej.

— Podiaczego mi dawać! — rozkazał.

Tułało się po zamku podiaczyko stare, pisarzy-na moskiewskiego wojewody, co razem z twierdzą w ręce polskie się dostał. Badano go nawet u kanclerza, ale że przygłupi był i wiedział mało, puścili go tedy wolno. Głodem teraz marł okrutnym i za błazna żołnierzowi służył. Z desperacji uwiesił się przy ludziach Kurbskiego, że to mowę mieli ruską i wiarę prawosławną. Ale i przy nich nie lepiej mu się działo.

Gdy go Kałymet do kniaziowej celi wepchnął, padł zaraz na kolana i ku butom pańskim się czołgając pokłony ziemne wybijał.

— Okaż litość, miłościwy kniaziu! — jęczał. — Na Chrystusa Pana proszę, okaż litość!

Przyjrzał mu się kniaź chmurnie. Siwy był, zmiżerowany, obdarty, bosi i nastroszony okrutnie. Widząc, że oczyma z głodu ku stołowi łypie, rzucił mu z wczorajszej wieczerzy kość, jak psu. Podiaczy kość w lot chwycił, ale jeść przy panu nie śmiał.

— Wiesz też, ktom zacz? — pytał kniaź.

— Wiem, miłościwy kniaziu. Tyś sokół jasny, wojewoda carski, Kurbski-kniaź Andrzej.

— W Moskwie byłeś dawno?

— Na Mikołaja Cudotwórcę trzeci rok się skończy.

— A cóżeś w Moskwie o mnie słyszał?

Znowu taki strach dziadygę przejął, że aż trząść się począł na całym ciele. Znowu pokłony bił i skowyczał:

— Okaż litość, miłościwy kniaziu! Okaż litość!..

Tupnął kniaź nogą w złości.

— Gadaj, psie.

— Mówili ludzie, kniaziu miłościwy, żeś przed niełaską carską na Litwę ujechał — mamrotał bojaźliwie. — Mówili, że ci car Iwan małżonkę dro-

gą i syna małego w ciemnicy głodem zamorzył. Nie racz się gniewać, miłościwy kniaziu!

Kurbski milczał chwilę ponuro. Przebolał te sprawy od dawna, a przecie mu znowu serce krwią spłynęło.

— Cóż jeszcze mówili?

— Mówili, żeś włości odbiegał ogromnych. Rozdawał je później car Wasiliewicz sługom swoim i bojarom...

— Kto z bojarów brał?

— Wielu brało... Najwięcej Szujscy kniaziowie, bo chciwce.

— Szujscy? — zdziwił się kniaź.

— Szujscy.

Zdziwił się kniaź, że krwawy Iwan znów rodowitym łaskę swą okazuje. No, aleć to Szujscy tylko! ci i przez ucho igielne przeleżą, jak trzeba. Zrozumiał teraz kniaź, dlaczego Wasyl Szujski nie chciał z Turowickim gadać. Zrozumiał też, że próżno by chciał z poselstwem moskiewskim w konszachty wchodzić. A i podiaczego nawet na szpiega do nich posyłać nie warto, bo za kęs chleba sprzedać gotów.

— A teraz, co o mnie w Moskwie mówią?

Zastanowił się stary i przypominał sobie długo.
Rzekł wreszcie:

— Nic nie mówią, miłościwy kniaziu.

— Nices nie słyszał?

— Nic.

Zapomnieli o mnie — dumał kniaź ponuro. Już zapomnieli. A przecież i Kazań dla nich brał i od Krymców pod Tułą bronił i w Liwonii z Lachami wojował. Piętnaście ledwo lat przeszło — a nic już tam po mnie. Jeden tylko Iwan, pies parszywy i krwawy, mnie pamięta. Ten nie zapomni!

A stary widząc kniaziową zadumę jęczał coraz żałośniej:

— Łaskę mi okaż, miłościwy kniaziu! Biją mnie starego, męczą, jeść nie dają! Brodę mi siwą kłakami rwą, miłościwy kniaziu! Rozkaż sługom, soko-le! Łaskę mi swoją kniaziowską okaż!

Wstał Kurbski.

— Łaski mojej chcesz, psie — mruknął. — Masz łaskę!

I kopnął podiaczego w twarz z taką siłą, że ledwie się pode drzwiami stary oparł i krwi nawet nie ucierając omackiem prawie do sieni wylazł. Ale kość ze sobą zabrał.

Umył teraz kniaź głowę i ręce, włos siwiejący przyczesał gładko, a grzywę nad oczami równiutko przycięć kazał. Szatę wdział na się zieloną ciężką ze złotymi guzami, szubę bogatą nań włożył — i już do kanclerza szedł. Z nim Kałymet i Turowicki, obaj też strojni.

Dygnitarzy było w kanclerskich komnatach dość, ale witali się z Kurbskim chłodno, bo za Moskwicina mieli go zawsze, a i pycha jego kniaziowska nieznośna się im widziała. Inni, co młodszy, nie wiedzieli nawet, kto zacz jest. Ale Kurbski zdawał się nie dbać o to wcale. Siadł na ławie nastroszony i posępnym okiem w koło toczył. Czekał, aż go pokojowcy do kanclerza wezwą.

U kanclerza też lic nie rozjaśnił wcale.

— Wielce król jegomość waszej miłości chwali — mówił kanclerz — żeś mu z kowelskiego lenna poczek zbrojnych przywiódł...

Wstał Kurbski, a kłaniał się nisko i ciężko.

— Łaskaw król jegomość na swego sługę — mruzczał ponuro.

Zamoyski jakby tego nie widział.

— Doszły przecież króla wieści — mówił dalej zimno — że wasza miłość niepokój wielki w koło

siebie czynisz. Słyszał król, żeś ze wszystkimi mniejszymi sąsiady w wojnie, a słabszych bez litości dręczysz. Że domy szlacheckie napadasz i ludzi na śmierć bijesz. Nie może pan w swym królestwie takich rzeczy cierpieć.

Kurbski milczał na te oskarżenia. Nadął się — i widać było, że lekce je sobie waży. Milczał uparcie.

— Tutaj, pod samym okiem królewskim, sapieżyńskiego sługę, szlachcica, zrębać wasza miłość kazałeś. Bacz wasza miłość, że wszelka swawola u nas kres miewa.

Kurbski nawet i groźbę mimo uszu puścił.

— Mówisz, wasza miłość — ozwał się wreszcie — że król jegomość mój poczcik chwalił. Co mi tam poczcik! Jam u Iwana wojska wielkie wodził, nie poczcik! Ludy mu do kolan giąłem, miasta dłań brałem i kraje! Służyłbym tak i królowi, byleście mnie do wojny użyli. Niech da mi król pancernych waszych, piechoty zaciężnej i armaty trochę, to mu przed zimą jeszcze do samej Moskwy wejść! Znam przecie Iwanową słabość, jak nikt. A i wy moją sztukę wojenną znacie, choćby w Inflanckach!

Kanclerz na tę kniaziową deklarację spytał sucho i po namyśle:

— A skądże wasza miłość wiesz, że my Moskwę brać chcemy?

Po czym mówił sam dalej zimno i z jawnym szyderstwem:

— Żeś wasza miłość wódz sławy wielkiej, nie przeczę. Na tośmy go właśnie od cara Iwana zwołali, żebyś wasza miłość przeciwko nam nie stawał. Największa ta jego sztuki wojennej pochwała.

Zrozumiał Kurbski, że w pysk tym słowem dostał. Pobladł bardzo i oczy powieką nakrył, żeby z nich gniewem w Zamoyskiego nie bić.

— Suplikowałeś, wasza miłość, u króla jegomości — ciągnął kanclerz — żeby ci lenno kowelskie w dziedzictwo puścił. Słyszę, że i dziś już kniazem na Kowlu się piszesz...

— Dziecię mi żona nosi — wycharczał kniaź.

— To dziedzictwo, czy insze, zawsze łaska królewska dla waszej miłości znajdzie. Byleś chciał jedno w nim spokoju zażyć. Mówią, że *litteris* się wasza miłość bawisz. Bardzo to godziwe po trudach wojennych igraszki i sam o wolnej głowie rad się nimi bawię...

Idąc od kanclerza przez komnaty książę tylko brodę gładził drżącą ręką. Ale ledwo na dziedzińcu ze służbą wyszedł, jął kląć sztrasznymi wyrazami. Klął kanclerza, klął cara Iwana, Polskę klął i Moskwę, losy swoje i siebie samego. Dławił się tymi klątwami.

Mitygowali go słudzy daremnie. Już w celce u siebie Kałymeta kulakiem w pierś trzasnął i klął teraz dopiero wielkim głosem. Aż piana mu wąs okryła jak psu wściektemu. Bali się wierni słudzy o kniaziowe zdrowie, ale żaden przystąpić nie śmiał. Zmęczył się wreszcie. Zległ na ławie i na oczy się wilczurą nakrył. Nie obiadował wcale, tylko leżał tak do wieczora. Może i spał.

Dobrze już na odwieczarz zajrzał do niego Kałymet ostrożnie.

— A co?

— Dworzanin przychodził od kniazia Sanguszki Lubartowicza waszą miłość na ucztę prosić.

— Cóż to za uczta?

— Dla Gołowina posła Sanguszko ją daje, że to ich ojce znali się jeszcze za nieboszczyka - króla.

— Cóżes rzekł?

— Że wasza miłość spoczywać raczy.

— Dawno zasiedli?

— Od godziny już chyba piją, bo krzyki słychać na cały zamek.

Od razu postanowił książę, że pójdzie. Niech zobaczą te raby carskie, że on i w Polsce w słońcu i łaskach żyje. Wróci poselstwo do Moskwy i Iwanowi o tym powie. Przewróci się zółć w Iwanie. Przyszło jeszcze kniaziowi na myśl, że Kurbskim przed Gołowinami miejsce za stołem się należy, a wiedział, że mu go nie dadzą. Ale machnął na to ręką: co kraj — to obyczaj, co Polska — to nie Moskwa.

Wziął całą służbę rękodajną i poszedł.

Uczta u kniazia Sanguszki szła już w najlepsze. Podpił sobie gospodarz, podpili sobie i goście. Siedzący na pierwszym miejscu gruby Gołowin czerwony był jak rak; prawą ręką w nakrajanym mięsiewie grzebał, a pucharka srebrnego z lewej nie puszczał ani na chwilę. Jeden tylko diak Sofronow, co miał go poseł pod łokciem, umyślnie nic nie pił; przycupnął na ławie cichutko i mysimi oczkami po całym stole biegał. Ten uważał pilnie na wszystko, choć i nie było na co. Panowie polscy bowiem uciechę tylko czynili sercu i wrzask ogromny. Każdy, jak to w pochodzie, pił z puchara własnego, a za-

wsze miary znacznej. Też całowali się między sobą gęsto, a gdzieniegdzie już sprośne piosenki jeden do drugiego śpiewał. Służba ledwie nadążała dzbany z beczki toczyć i na stół przed gości stawiać.

Kurbskiego mało kto dostrzegł w tym harmidrze. Przywitał się tylko z Sanguszką (który, że amfitrion, z trudem na nogi się podniósł) i śpieszył od razu ku środkowi do kniazia Ostrońskiego, wojewody kijowskiego, co obu rękami go do siebie wzywał. Przyjaźnili się z kniazem Konstantym mocno, jako w jednym wieku i jednej wiary ludzie. Na Ostrońskiego widok zaraz zelżało kniaziewi na duszy i wziął się do trunku ostro.

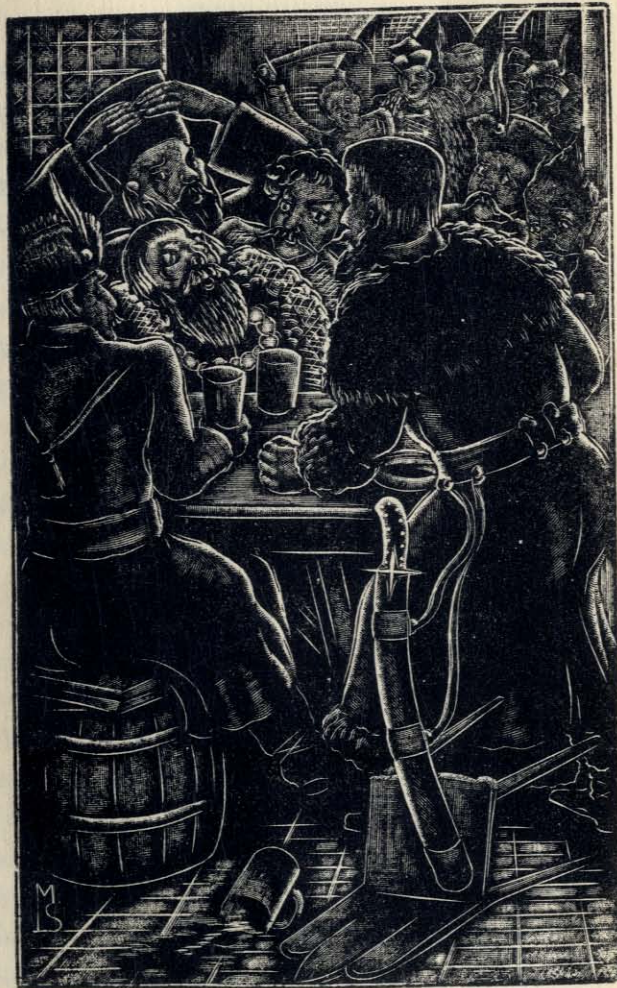
Ale jeden tylko puchar wypił a już widział, że diak Sofronow patrzy nań z wielką złością. Widział też, jak szarpał diak Gołowina za rękaw i coś doń gadał szybko. Gołowin wstał na to i jął machać rękami długo, aż wszystkich uciszył.

Wtedy ryknął:

— Obraza! Obraza wielka! Nie może carski poseł razem z Kurbskim siedzieć! Ze zdrajcą! Z rakarzem! Z chłopem carskim zbiegłym!!

Zatrząsł się Kurbski i też poderwał się z ławy:

— Nie posłem ci, rabie, być — krzyczał — ale



koniuchą. Jako i twój dziad u mojego służył! A waszego Iwana za zwierza lutego mam, nie za cara! Pies to smrodliwy i krwawy! Antychryst przeklęty!

Gołwinowi aż mowę odjęło. Ręk do góry uniósł, oczy mu ze łba wyszły — a przemówić nie mógł. Za to Sofronow-diak lica woskowe w dłoniach ukrywszy i łysiną tylko nad stołem świecąc piszczął starczym głosikiem okropnie:

— Obraza! Obraza carska! Obraza niesłuchana!

Ale już i panowie polscy przyszli do siebie ze zdumienia. Wszyscy porwali się teraz i krzycheć poczęli:

— Cara jegomości wyzywa! Precz!

— Gdzie *ius gentium*, panowie? Za drzwi! Za drzwi z nim!!

— Straży wołać! Katu go dać!

Wielki powstał rumor. Wszyscy jęli na Kurbskiego napierać groźnie. Ten w kąć uskoczył z ręką na głowni, a kniaź Ostrogski, chłop wielki, osłaniał go własnym ciałem. Na liczne klaskania wpadła rękodajna służba i koło swych panów się kupiła. Tu i ówdzie dobywano już szabel z kłatwami. Mogła być tęga bitka.

— Chodź, kniaże! — mruknął Ostrogski ze złością. — Jeszcze cię tu zasięka!

Cofali się tedy ku drzwiom ze służbą, a i tamci nie nastawali bardzo. Nasłuchał się tylko Kurbski klątw dowoli. Ale wyszli zdrowo.

Na dziedzińcu odsapnął kniaź Ostrogski, wojewoda, i splunął.

— Niedobrze, wasza miłość, bardzo niedobrze — chmurzył się. — Król jegomość zły będzie o posła. Nie masz tu, kniaź, w zamku na co czekać, chyba na straż kanclerską. Pojedziem teraz do obozu, to się wasza miłość wśród moich ludzi schronisz, póki gorączka nie minie. A jutro może ci i do króla ruszyć wypadnie... *Videbitur!*

Kurbski nie rzekł nic, tylko trząś się i dyszał ciężko. Nawet na koń pomoc mu musieli, bo serca już nie miał mocnego. Zostawił jeszcze Ostrogski sługę, kniazia Poletyłę, na obserwację, co też u Sanguszki będzie się dalej działo.

Kiedy Poletyło wrócił po paru godzinach, zastał obu kniaziów w namiocie przy dzbanie wina. Ledwie wysłuchać go mogli, gdy mówił, że Moskwa przeprosić się dała i że Gołowin dwa razy już pod ławę spadał. Trącali się na to kniazio wie kubkami,

aż wino na ziem chlustało, i całowali się. Zważył jeszcze Poletyło beczułkę, co w kącie stała, i ręką machnął. Popili się kniazio wie.

— Co mi ta Polska cała! — gadał Kurbski czkając co chwila. — Jakem Ossowieckiego Żabę zajechał i z Ossowca wygnał, przyjechał do mnie, do Kowla, pan Wolski z królewskim listem. A królowi Zygmunтови zmarło się właśnie. Mówię tedy do Wolskiego: „Cóż to, waść, do mnie z martwymi listami jeździsz?“ — „Jakże z martwymi?“ — „Z martwymi, bo od martwego króla. A choćbyś i żywe od żywego przywiózł, to i tak, panie Wolski, psami cię wyszczuję“. I wyszczułem.

Zaśmiał się wojewoda tego i za kubek chwycił. Pusty. Zajrzał do dzbana — pusty. „Ileśmy tych dzbanów wypili?“ — pomyślał. — „Trzy, czy cztery? Cztery chyba“.

— Rozpusta babilońska cała ta Polska! — bełkotał Kurbski z gniewem. — Żeby Iwanowi taką rzecz zrobił, to by spod ziemi mnie dostał. A cóż jest Iwan? Ja, kniaź jarosławski, rodem od niego starszy; mnie nad Rusią panować, nie jemu! Słuchaj, kniaże, cóć Kurbski rzecz: tę Polskę pogań-

ską rzuć, ludzi zbierz wszystkich prawosławnych i na Moskwę ruszamy!

— Jakże mam Polskę rzucić? Tociem Polak — zdziwił się Ostrogski pijany.

— Słuchaj, kniaże... Carem na Moskwie osiądę, Ruś całą zwołam i wtedy na Polskę ławą!... Stefana z tronu zrzucimy i ciebie, Ostrogskiego, królem zrobię... Księży pobije się wszystkich i szlachtę, popów się sprowadzi i wiarę prawosławną... wiarę...

Ostrogski spozierał nań z osłupieniem, a on zasypiał już prawie.

— Wyrozum, kniaże! — podniósł nagle Kurbski palec z powagą. — Stoi w Piśmie: trzy będą Romy. Pierwsza Roma — starodawna, druga Roma — Carogród, trzecia Roma — Moskwa. Wielkie idą czasy na Ruś świętą i na prawosławną wiarę... Pierwsza Roma — starodawna, druga Roma...

Tu łeb mu na rękę opadł i tak zasnął.

— Hryhor, bywaj! — krzyknął kniaź Ostrogski na Poletyłę. — Bywaj, bo się kniaź Kurbski upił!

Zajrzawszy do namiotu zmiarkował Poletyłło, że i wojewodzie nie brakowało nic. Huknął więc w ciemność ostro, zaspany był bowiem i zły:

— Hej, Moskwa! Który tam Kurbskiego sługa?! Bierz ścierwę, bo się spł!

Sam wziął wojewodę pod ramiona i do łóżka go zawłókł.

— Bacz, Hryhor! — dziwił się kniaź Ostrogski z uporem. — Chyba mnie ten Kurbski do zdrady namawiał?... Mnie, wojewodę, kniazia na Ostrogu, na Korcu i na Zaslawiu! O Polsce bajął, o Moskwie, o wierze świętej bajął, o Romie... Uczony on, a durny!... Namawiał mnie do zdrady, czy nie namawiał?

— U nich tego nie kupić! — mruknął Poletyłło z pogardą.



154264

SPIS TREŚCI

Ferdynand Goetel: Pochwała twórczości Piotra Choynowskiego	1
Magnackie swaty	25
Służba nie družba	87
Wigilia wojewody	107
Pańskie łyzy	133
O pięciu panach Sulerzyckich	161
Książ Kurbski	193

*

